Nr. 169. Lwów — Piątek dnia 24 Lipca. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE we Lwowie . . . . 4 ct. na prowincyi . . . . 5 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 c.
„ tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 30 „
Nekrologia . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO [illegible]“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Krystyny — Prokła
Jutro: św. Jakóba — Sob. ś. H.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 30
Zachód „ 7 „ 38

Długość dnia g. 15 m. 8
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 23 lipca.

Według relacyi z Pesztu, układy ugodowe, prowadzone przed kilku dniami w Wiedniu, dały rezultat pomyślny. Co do odnowienia traktatu handlowego i celnego, nastało podobno zupełne porozumienie. Zdaje się jednak, że ministrowie austryaccy definitywne przyjęcie traktatu handlowego i celnego czynią zawisłem od ugody co do kwoty. Formalnie kwestya traktatu handlowego a sprawa kwoty nie pozostają w żadnym organicznym związku. Względem kwoty musiałoby nastać porozumienie także w tym razie gdyby traktat handlowy nie był na razie zawarty. Jakkolwiek więc formalnie traktat a kwota stanowią dwie odrębne sprawy, to przecież rzecz naturalna, że pod względem finansowym dopełniają się nawzajem. Gdyby Węgry przystały na podwyższenie swej kwoty, natenczas rząd austryacki mógłby łatwiej uczynić pewne ustępstwa w traktacie handlowym, n. p. co do obliczenia podatków konsumcyjnych. To też rozwiązanie kwestyi ugodowej zależy głównie od uporządkowania kwoty, a jeżeli na ostatnich konferencyach wiedeńskich, jak zapewniają, nie traktowano o kwocie, to porozumienie się względem samego traktatu handlowego ma tylko teoretyczne znaczenie.

W Peszcie przeważa zdanie, że dopiero nowy sejm węgierski uchwali ugodę. Wprawdzie dzienniki półurzędowe zapewniają ciągle, że rząd węgierski nie zamierza rozwiązać Izby poselskiej przed zimą, ale tymczasem stronnictwa gorączkowo przygotowują się do wyborów. Już niemal we wszystkich okręgach stolicy nowi kandydaci występują do walki z dawnymi posłami. Dotąd prawie wszystkie mandaty peszteńskie znajdują się w posiadaniu liberalnego (rządowego) stronnictwa. Obecnie w kilku okręgach stawiają swe kandydatury nowi ludzie z obozu liberalnego przeciwko starym posłom liberalnym, jak baron Podmanicky, Berzeviczy i Falk, w innych krzątają się „korteszowie“ czyli ajenci wyborczy stronnictwa narodowego i niezawisłego. Na prowincyi katolickie stronnictwo ludowe odbywa bez przerwy zjazdy. Dotąd w izbie poselskiej zasiada tylko jeden reprezentant tego stronnictwa, ks. Zelenyak. Powszechnie jednak przewidują, że stronnictwo katolickie zdobędzie znaczną liczbę mandatów. Widoki jego byłyby jeszcze pomyślniejsze, gdyby antagonizm dwóch głównych organów katolickich nie paraliżował po części ogólnej akcyi.

Jak wiadomo, katolickie stronnictwo ludowe stanęło na podstawie ugody r. 1867, a więc pod względem prawno politycznym, na podstawie programu Deaka i tych zasad broni jego nowy organ „*Alkofmorny*“. Natomiast najstarszy organ katolicki „*Magyar Allam*“, który przed 25 laty stał na podstawie ugody r. 1867, obecnie występuje w obronie programu zupełnej niezawisłości Węgier od Austryi. Naczelny redaktor „*Magyar Allamu*“ dr. Kortorany przystąpił do stronnictwa niepodległości, i to do tej frakcyi, którą kieruje Ugron. Niezawodnie jest to stanowisko „popularniejsze“. Ale rzeczywistego wpływu na polityczne stosunki kraju zdobyć może tylko stronnictwo, uznające ugodę r. 1867. Być zresztą może, że zanim się naprawdę rozpocznie walka wyborcza, nastanie zgoda pomiędzy dwiema frakcyami obozu katolickiego.

Ogromnie ciekawą pod względem jurydycznym jest forma procesu, jaką wybrano w Londynie dla osądzenia Jamesona i towarzyszy za znany napad, przedsięwzięty na państwo Boerów. Oto stawiono ich nie przed zwykłym trybunałem, lecz przed t. z. Trial at Bar. Jestto najuroczystsza forma rozprawy sądowej, jaką zna kryminalna procedura angielska, ale żadna inna na świecie, i w tem stuleciu zastósowana była w Anglii wszystkiego pięć razy. Zazwyczaj składa się sąd w Anglii z przysięgłych i z jednego tylko sędziego, który może ferować nawet wyrok śmierci. Trial at Bar zaś składa się ze zwykłej liczby przysięgłych i z całego kolegium sędziów równych sobie rangą i mających jednakie prerogatywy. Wprawdzie jeden z tych sędziów kieruje rozprawą, ale każdy inny, nie zasięgając nawet uchwały kolegów, może mięszać się do toku rozprawy, powoływać świadków, stawiać dowolne pytania, ba nawet, jeżeli mu się zdaje, że resumé wypowiedziane przez kierującego rozprawą jest niedokładne, stronnicze, lub źle przedstawia sprawę, to może wypowiedzieć własne resumé i ze swego punktu widzenia może rzecz przedstawić przysięgłym.

Wybierając tę wyjątkową formę procesu dla rozstrzygnięcia sprawy Jamesona, chce rząd angielski w sposób ostentacyjny pokazać, iż mu na tem bardzo zależy, aby ją zbadano jak najgruntowniej, a rozstrzygnięto bezstronnie.

Bo trzeba wiedzieć, że opozycya parlamentarna kuje z tej sprawy ostrą broń przeciw gabinetowi Salisbury'ego, który i tak spotyka się w kraju z zarzutami, że dotychczasowa jego polityka jest jałowa. Na rękę jest opozycyi to, że komisya, wybrana przez parlament przylądka Dobrej Nadziei, po przeprowadzeniu mozolnego śledztwa, orzekła, że Jamesona napad był z góry przygotowany, że Jameson odgrywał w nim tylko podrzędną rolę wykonawcy cudzych planów, a właściwymi winowajcami są Cecil Rhodes i dyrektorowie kompanii „Chartered“, których gabinet londyński starał się dotychczas wyłączyć z tej sprawy. Nawet działalność ministra kolonij Chamberlaine'a przedstawia sprawozdanie komisyi kaplandzkiej w świetle bardzo niekorzystnem, bo daje do zrozumienia, że i on bardzo dobrze wiedział o tem, iż taki napad przygotowuje się i że przez to wplątał Anglię w przykry konflikt międzynarodowy.

Ma więc opozycya już w ręku ważne atuty przeciw rządowi, który i tak staje się w kraju coraz mniej popularnym. Istotnie bowiem działalność jego dotychczasowa była bezpłodna. Rozporządzając tak olbrzymią większością parlamentarną, jaką nie rozporządzał żaden rząd przed nim, nie zdołał on przeprowadzić ani jednej ważniejszej sprawy; jeden bil jego po drugim przepadł, a w bilansie polityki zagranicznej ma do zanotowania same tylko porażki. Proces Jamesona ma dostarczyć opozycyi oręża do pokonania rządu. Ale rząd spodziewa się, iż proces wykaże, że najmniejsza wina na nim nie ciąży i że zatem opozycya walczy przeciw niemu niegodną bronią insynuacyi i oszczerstw. Gdyby istotnie wyrok w procesie Jamesona był takiem świadectwem dla rządu, to on pragnie je otrzymać w formie jak najsolenniejszej i dlatego złożył taki nadzwyczajny trybunał, w jakim nie zasiadał jeszcze może żaden z żyjących sędziów londyńskich.

Bądź co bądź, to jest jasne, że w procesie tym chodzi nietylko o wolność Jamesona i jego garstki awanturników, ale także o los gabinetu.

Korespondencye.

Warszawa, 20 lipca.

(*Azst.*). Nareszcie sprawa dla Warszawy niezmiernej wagi została rozstrzygniętą. W tych dniach nadeszło z Petersburga urzędowe zawiadomienie, że władza zatwierdziła przedstawienie magistratu warszawskiego w sprawie urzeczywistnienia kosztem miasta projektu przeniesienia szpitala Dzieciątka Jezus na folwark Świętokrzyski. Tak więc sprawa, ciągnąca się od tak dawna, rozstrzygnęła się w pożądanym dla miasta duchu.

Ze sprawą tą wiąże się druga, nie mniej ważna, która również w czyn się zamienia. Przed rokiem jeden z kapłanów rzucił szczęśliwą myśl aby wobec zamierzonych przenosin szpitala Dzieciątka Jezus, zostawić kaplicę, a raczej kościółek, jaki tam się znajduje. Projekt ten sięgał nawet dalej, mianowicie do wybudowania w owem miejscu nowej, wspaniałej świątyni, ku uczczeniu jednego z najczcigodniejszych filantropów, twórcy domu podrzutków, księdza Baudouina. Inicyator projektu pragnął, aby koszt budowy świątyni poniosło w znacznej części duchowieństwo całego kraju. Nawet zadeklarowane już zostały składki, ale jak to u nas bywa, kwestya, początkowo gorąco traktowana, poszła w odwłokę. Dopiero teraz, gdy sprawa przenosin i regulacya nowej dzielnicy miasta jest już najformalniej zdecydowaną i wchodzi w fazę czynu, projekt kościoła Dzieciątka Jezus znów się przypomniał. W tych dniach nawet odbyła się narada pewnego grona osób, zajmujących się gorliwie wzniosłym zamiarem, i uchwalono rozpocząć niezwłocznie starania o zachowanie przy regulacyi placów odpowiedniego gruntu pod kościół, i o uzyskanie pozwolenia na zbieranie składek, z którychby można było nowy kościół zbudować. Rzecz warta zachodu i gorliwym o chwałę Bożą ludziom, za ich starania, należy się szczera podzięka.

Od paru tygodni daje się czuć coraz więcej odwrót w gorączkowej spekulacyi na place i domy. Jeszcze w czerwcu odbywały się liczne tranzakcye i tendencya była zwyżkowa. Tymczasem w obecnej chwili następuje pewnego rodzaju zastój, a nawet wielu spekulantów ustępuje z cen pierwotnie stawianych. Kompetentni utrzymują, że to naturalna reakcya po nienaturalnej gorączce spekulacyjnej.

W jednej z poprzednich korespondencyi donosiłem o bliskiem ustąpieniu p. Szymanowskiego ze stanowiska reżysera dramatu i komedyi w tutejszych rządowych teatrach. Doniesienie moje sprawdziło się, bo w kilka dni po wysłaniu tej korespondencyi, p. Szymanowski otrzymał dymisyę, a na jego miejsce powołano — o czem również doniosłem — p. Ładnowskiego.

W świecie literackim i artystycznym dymisya p. Szymanowskiego wywołała radosne wzruszenie, a dzienniki sprawiły smutne pożegnanie ustępującemu reżyserowi. Co prawda, na obronę p. Szymanowskiego nie da się nic powiedzieć. Działalność jego na stanowisku publicznem była rzeczywiście tego rodzaju, że naprzód odznaczała się niezmierną ignoracyą, a powtóre: jakby umyślnem obniżaniem stanowiska literackiego i artystycznego tej największej sceny polskiej. Dymisya p. Szymanowskiego wisiała w powietrzu od śmierci jenerała Karandiejewa, któremu p. Szymanowski szedł zawsze na rękę w sprawach nie mających związku ze sztuką, ale teraz dopiero, gdy wiceprezes dyrekcyi p. Vaqueret opanował sytuacyę i gdy prezes obecny pułkownik Andrejew wejrzał bliżej w stosunki teatralne, p Szymanowski odrazu usunięty został. Kroplą, która przepełniła kielich niezadowolenia była „Szklana góra“ Sarneckiego. Sztukę tę miano wystawić u nas w letnim teatrze, odbywano nawet z niej próby, gdy jednak cenzura wiele ustępów wykreśliła, dyrekcya sztukę cofnęła, a p. Szymanowski dostał dymisyę za to, że jak się okazało, sztuki wcale nie czytał, tylko wprost egzemplarz przesłał do komitetu cenzury. Praktykuje się tu bowiem tak, że reżyser przeczytawszy sztukę, wskazuje dyrekcyi ustępy lub sceny wątpliwe pod względem cenzuralnym i wtedy ustępy te sama dyrekcya usuwa lub za porozumieniem się z autorem zmienia, aby cenzura rządowa nie kwestyonowała już, mającej się przedstawić sztuki, która zmieniana później znowu musi wędrować do komitetu cenzury. Zdaje się jednak, że mimo to wszystko, gdy pierwsze ognie przygasną a o dymisyi p. Szymanowskiego przestaną pisać (dotąd bowiem zawzięcie piszą) przedstawienie „Szklanej góry“ przywrócone zostanie, co jednak nie nastąpi już w letnim sezonie. Tymczasem nowy reżyser p. Ładnowski zabrał się z zapałem do pracy i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że szczególniej w dziale oryginalnej dramatycznej literatury nastąpi ożywienie i bardzo pożądany zwrot ku lepszemu. — W ogóle dla dramatu i komedyi nastąpią lepsze czasy, a p. Ładnowski, jako artysta wszechstronnie wykształcony, wysoko utalentowany a przytem jako człowiek nieskazitelnego charakteru, daje najzupełniejszą rękojmię, że będzie lepiej.

Wiedeń 21 lipca.

(*i.*) Pod bardzo złemi auspicyami rozwija nowe stronnictwo postępowe swą działalność, mającą uszczęśliwić całą ludność niemiecką Austryi. Dokąd tylko się zwróci, wszędzie spotyka się z nieufnością, a walka konkurencyjna ze stronnictwem narodowo-niemieckiem i antysemitami zmusza je do robienia istnych koziołków politycznych. W Styryi odbędą się niebawem wybory do sejmu, już zatem teraz zabrali się postępowcy do agitacyi i zaraz na pierwszym kroku potknęli się. Zarząd stronnictwa zwołał konferencyę swych najzaufańszych mężów zaufania, t. j. burmistrzów styryjskich i przedłożył im projekt odezwy do wyborców. I oto stała się rzecz niebywała: oi potulni burmistrze, którzy dotychczas ślepo słuchali komendy jeneralnego sztabu liberalnego, nie chcieli podpisać tej odezwy. Wydano ją więc bez ich podpisu. Czytając tę odezwę wprost oczom wierzyć się nie chce. Toż z dawnego liberalnego programu zostało zaledwie kilka okruszyn, za to pożyczyli sobie postępowcy od deutschnacyonałów ich najgłówniejsze hasła, ba nawet szczyptę antysemityzmu wstawili do swego programu (!). Co to może konkurencya! Jako pierwszy punkt programu podniesiono w tej odezwie obronę narodowości niemieckiej i walkę przeciw „bezgranicznej pożądliwości“ Słowian. Kulturny postęp znajduje się dopiero na szarym końcu.

A dalej tak odzywa się postępowy sztab: „Wprawdzie wiemy o tem, że polityczne granice dzielą nas od większości naszych rodaków, wszelako spełniając obowiązki nasze względem państwa, uważać się będziemy zawsze za członków wielkiego narodu niemieckiego i nie myślimy spełniać funkcyi stronnictwa państwowego“. Potem przychodzi kilka gromów na klerykalizm i owa szczypta antysemityzmu, o której wspomniałem. „Antysemityzmu — piszą autorowie odezwy — nie możemy uznać jako obowiązkowego dla wszystkich Niemców, oświadczamy jednak, że w łonie naszej partyi jest dość miejsca zarówno dla przeciwników jak i dla zwolenników antysemityzmu“.

I jakby na udowodnienie prawdziwości tej teoryi, podniesiono na samym końcu odezwy pożyczone od antysemitów hasło zwalczania wszelkiej korupcyi.

I pomyśleć tylko, że takie *mixtum compositum* polityczne wychodzi z laboratoryum *Nowej Pressy i Tagblattów!*

Antysemicka większość rozgospodarowała się już na dobre w ratuszu. Dotychczasowy okres jej rządów odznacza się tendencyą robienia jak największej oszczędności w wydatkach miejskich. Zarzutu nie można z tego zrobić jej żadnego, zwłaszcza, że na sobie zaczęła oszczędzać, zmniejszyła bowiem pensyę burmistrza o 12.000 wiceburmistrzów o 2000, a członków wydziału miejskiego o 1800 zł. rocznie, czem ulżyła miastu o 70.000 zł. rocznie. Następnie zabrali się antysemici do obcinania rozmaitych subwencyi i tem dopiero wywołali ogromną wrzawę w dziennikach liberalnych, które dziś przezwały się postępowemi dlatego, że ta nazwa jest w szerokich sferach popularna, ale oczywiście ani im w głowie żaden postęp. One chcą tylko tym nowym płaszczykiem osłonić swój dawny bezwyznaniowy liberalizm. Najwięcej hałasu narobiono z powodu zmniejszenia subwencyi wypłacanej wiedeńskiemu towarzystwu oświaty ludowej. Jestto towarzystwo niby w rodzaju naszej „Macierzy“, wydaje tanie dziełka dla ludu i urządza odczyty. Od szeregu lat otrzymywało ono od miasta subwencyę 3200 zł. rocznie, teraźniejsza rada jednak obcięła ją do 500 zł., motywując to postanowienie tem, iż towarzystwo to nie przynosi żadnej korzyści dla ludu, gdyż urządza odczyty przeważnie z dziedziny wyższej filozofii, niedostępnej dla ludu, a wydawnictwami swemi żadnej korzyści nie przynosi, gdyż zamiast wydawać dziełka o treści moralno-religijnej, popularyzuje utwory Heinego i innych takich pisarzy i poetów, których lud nawet znać nie powinien.

Uchwałę tę przedstawiły „postępowe“ pisma jako szczyt wsteczniotwa, wezwały zarząd towarzystwa, aby nie przyjął tej obrażającej jałmużny; rozpisały składki i w ciągu kilku dni zebrały więcej, niż dawna subwencya wynosiła.

Po za ratuszem pracują antysemici niestrudzenie nad tem, aby zabawić masy i podtrzymywać u nich bezustannie swą popularność. W tych wystąpieniach atoli grzeszą często przesadą i wprowadzają śmieszny kult osób, a w pierwszej linii naturalnie Luegera. W niedzielę n. p. urządzili w parku Baumgartena wielki festyn ludowy, na którym puszczano rakiety, nazwane „Lueger-Bomben“ i urządzono obraz z żywych osób, mający wyobrażać hołd, składany przez lud Austryi i Vindobonie. Austryą była żona fotografa, pani Róża Jenik, a Vindoboną panna Melania Hudetz. Trzecia część tego obrazu była taka: W oświetleniu bengalskiem „Vindobona“ błogosławiąc, wyciąga swe ręce nad biustem Luegera, a „Austrya“ z mieczem i tarczą ochrania ich oboje. Jak tak dalej pójdzie, to doczekamy się jeszcze może obrazu pod tytułem „Wniebowzięcie Luegera.“

Grono starokatolików, protestantów i prawosławnych Rumunów urządziło tu wczoraj zgromadzenie celem zaprotestowania przeciw ostatniej encyklice papieskiej o jedności Kościoła. Było na tem zebraniu około 200 osób i protest oczywiście uchwalono. Kronawettera i tutaj nie brakowało; miał on mowę, w której rzekł, że nie uznaje żadnego pozytywnego dogmatu, że dla niego wiedza jest alfą i omegą, że panujący dziś klerykalizm nie ma swego źródła w wierze w Boga, ale w egoizmie — itp. androny plótł ten gadatliwy trybun wiedeński.

Paryż 17 lipca.

(WZ.) Uśmiałem się serdecznie trzy dni temu, gdym się przechadzał po ulicach Paryża i obserwował wygląd miasta w tym dniu „święta narodowego“, w rocznicę zdobycia Bastylli. Oto na wszystkich domach, ale to literalnie na wszystkich które w tym dniu przystrojono, obok trójkolorowego sztandaru republikańskie

---

Z wycieczki na jubileuszową wystawę.

Budapeszt 21 lipca.

Trudno o skrajniejszy kontrast, jak wyjazd parowcem z Wiednia, a wjazd do stolicy węgierskiej. Tam z rana o 7-mej w III cyrkule wsiadamy na mały parowiec lokalny, który wąskiem korytem po całogodzinnej jeździe dociera do „ostrogi“, czyli wschodniego krańca wyspy, utworzonej odłączeniem się południowej odnogi od głównego Dunaju. Na tej przeprawie mijamy najprzód najuboższe dzielnice cyrkułów II i III-go, potem płyniemy wśród pustych brzegów, okrytych gęstymi krzakami Gdyby z daleka za nami nie świeciła wysmukła wieża katedry św. Szczepana, nicby nie przypominało, że wyjeżdżamy z starożytnej stolicy. Nakoniec wpływamy na majestatyczny Dunaj, którego w samym Wiedniu nigdzie nie widać, którego też połowa wiedeńczyków nigdy nie widziała. W mgle porannej fale potężnej rzeki połyskują srebrzystym blaskiem, po wszystkich stronach brzegi okrywają ciemno-zielone wierzby i krzaki, — krajobraz niezrównanie barwny i malowniczy, ale pierwotny i dziki, nakreślony wyłącznie cudotwórczym rylcem przyrody, nie zdradzający niczem, że się znajdujemy w pobliżu jednego z starych ognisk cywilizacyi europejskiej. Tu, na głównem korycie, wśród głuchej ciszy, z małego parowca przesiadamy na potężny statek, którym za 12 godzin wpłyniemy do samego środka Budapesztu.

Już słońce ukrywa się za wzgórzami, które wieńczą zachodni brzeg Dunaju, płynącego od Waicenu w kierunku już nie wschodnim, lecz południowym. Po obu brzegach zjawiają się sioła i miasteczka, na lewym przesuwają się pociągi kolei żelaznej, parowce i czółna ożywiają rzekę, dym bucha z ogromnych kominów fabrycznych — wszystko zapowiada bliskość wielkiego miasta. Parowiec przebywa ogromny niewykończony jeszcze most żelazny, piąty w rzędzie mostów, które tu powstały w ciągu ostatnich lat 15. Po prawej stronie, z po za zielonych gęstych drzew wyspy Małgorzaty błyszczą światła elektryczne i dolatują nas dźwięki wesołej muzyki. Już oba brzegi potężnej rzeki roją się od kamienic przedmiejskich Przejeżdżamy pod mostem Małgorzaty. Teraz roztacza się przed zdumionem okiem najparadniejsza panorama, na jaką zdobyć się mogła hojna przyroda w zgodzie z najenergiczniejszemi wysiłkami cywilizacyi. Na prawo, na ciemnym już tle widnokręgu, efektownie odbija wykwintna wieża gotycka kościoła św. Macieja, dalej z wzgórza świeci żółty pałac królewski, a jeszcze dalej—wierzchołek wysokiej góry, która zamyka południowy widnokręg, wieńczy ogromna starożytna cytadela. Na tym prawym brzegu rzeki przyroda wysadziła się na wytworzenie krajobrazu, imponującego powagą. Na drugim, płaskim brzegu wyłącznie zabiegliwość i energia ludzka, skromne jeszcze przed 25 laty miasto (Peszt) zamieniła w wykwintną stolicę.

Tuż za mostem Małgorzaty na lewym brzegu sterczy w całym przepychu nowy pałac sejmowy. Długi rząd arkad parterowych, gęste okna na pierwszem i drugiem piętrze, balkoniki i wysmukłe wieżyczki gotyckie nadają mu cechę wykwintnej roboty filigranowej. Widocznie ratusz wiedeński był wzorem, ale wzór ten został tutaj wydelikatniony, upoetyzowany. Główną różnicę tworzy zgrabna kopuła, wieńcząca środek gmachu, mniej poważna, ale weselsza i bardziej malownicza, niż zbyt wysoka wieża ratusza wiedeńskiego. Kopuła ta pokrywa wielką salę, w której 6 czerwca odbyła się znana uroczystość i która swemi maurytańskiemi łukami, lśniącemi od złota i czerwonego marmuru ścianami, swą mozaiką czerwonych i białych kostek marmurowych posadzki, swemi różnobarwnemi szybami wielkich okien, sprawia wrażenie po prostu olśniewające.

Od gmachu sejmowego do zielonego skweru Franciszka Józefa zdobi wybrzeże (Rudolfa) rząd okazałych, czteropiętrowych kamienic, nowych, przytykających do starszego, paradnego pałacu akademii. Z po za tej kulisy świeci potężna kopuła bazyliki św. Leopolda, wystawionej świeżo przy bulwarze Waiceny. Za wymienionym skwerem rozpoczyna się drugie, jeszcze wykwintniejsze nadbrzeże Franciszka Józefa, o cienistej alei od strony rzeki, o szeregu okazałych kamienic po drugiej stronie, rzęsiście błyszczące światłem elektrycznem. Tu w samym środku miasta, przybija parowiec. Wysiadając, mamy jeszcze czas rzucić wzrokiem na prawy brzeg i ze zdumieniem dostrzedz, że w ciągu dwóch czy trzech lat także na tym brzegu, pomiędzy pałacem królewskim a górą cytadeli, powstała kulisa wielkich, wykwintnych gmachów, zasłaniająca dzielnicę małych, białych chat tak zwanego „miasta Raiżów“, bardzo malowniczą, ale nielicującą z wielkomiejskim charakterem stolicy. Wysiadłszy, wstępujemy w gęsty tłum ludzi, przechadzających się w chłodzie wieczornym po makadamie nadbrzeża, lub siedzących przy stolikach, zapełniających przestronny plac przed redutą.

W Wiedniu pod wieczór nigdzie, ani nawet na Grabenie nie ma tyle ruchu, co tutaj na wybrzeżu. W Wenecyi na placu św. Marka, w Madrycie na placu przed galeryą obrazów, albo na *puerta del Sol* w podobny sposób roi się od ludzi. Tam tłómaczy to dostatecznie klimat, który dopiero po zachodzie słońca spacer robi rzeczą przyjemną. Jednakże w północnej Antwerpii dostrzegliśmy niemniejsze ożywienie ulic i placów pod wieczór. Ludność Antwerpii należy niemal wyłącznie do narodowości flamandzkiej, a więc do szczepu germańskiego. Ani sam klimat, ani sam przyrodzony temperament nie tłómaczą więc dostatecznie uderzającej ospałości Wiednia pod wieczór, a ożywienia stolicy węgierskiej, lecz muszą istnieć jakieś inne, historyczne przyczyny tej różnicy.

Bądź co bądź, gdyby przejażdżka z Wiednia do Pesztu nie trwała 12 godzin, gdyby można przenieść się nagle od nadbrzeża Weissgerberów przy Landstrasse do nadbrzeża Franciszka Józefa w Budapeszcie, niktby nie przypuszczał, że Wiedeń jest o wiele starszą i niemal trzy razy większą od tutejszej, stolicą. Naprawdę Wiedeń w ostatnich 25 latach rozwinął się niemniej świetnie, jak Budapeszt. Kto poznał Wiedeń w r. 1870, a teraz przejdzie się po Ringstrassie od kościoła z Votów do ogrodu miejskiego, na pierwszy rzut oka zrozumie całą płytkość deklamacyi o rzekomym zastoju, a nawet upadku Wiednia. Nie można na seryo porównać stolicy węgierskiej z Wiedniem. Pewną iluzyę w tej mierze wywołać może tylko wręcz odmienna metoda Wiedeńczyków, którzy nieustannie z przesadnym pesymizmem ganią wszystko, nie unoszą się ani nad żadnym z powstałych nowych gmachów, ani nad żadnym z wykwintnych nowych pomników, owszem na każdym odkrywają i chętnie odsłaniają wady i usterki, gdy tutaj wszyscy, począwszy od ministra aż do prostego robotnika, z pewną może naiwną, ale niewątpliwie patryotyczną dumą, wszyscy na wyścigi wychwalają postęp i rozwój miasta.

Zapuszczać się w szczegółowy opis najnowszych upiększeń Budapesztu nie mamy na razie czasu. Głównym celem teraźniejszej wycieczki naszej jest Wystawa jubileuszowa, a mianowicie jej działy historyczne i artystyczne. Na szczęście wczoraj pojawił się nareszcie katalog niemiecki, pozwalający gruntowniej obejrzeć zabytki, nagromadzone w trzech gmachach, które tworzą grupę historyczną na wyspie Szecheniego. Mówiąc w nawiasie, gmachy te pod względem malowniczym niezawodnie zasługują na wszelkie pochwały, ale jako utwór fantazyi architekta, wspartej różnemi, samowolnie zestawionemi reprodukcyami z starych zamków i kościołów, nie dają dokładnego wyobrażenia o rozwoju architektury na Węgrzech. Co najwięcej, z tych różnych motywów trzeba wnosić, że ta sztuka w żadnym okresie nie wzniosła się tutaj na te wyżyny, na jakich stanęła na zachodzie. Zachwalają nam przesadnie portal kaplicy w Jaak, odtworzony na gmachu epoki romańskiej. Tymczasem w połowie XIII stulecia (kościół w Jaak został poświęcony w 1256) w krajach zachodnich istniały już tak wspaniałe arcydzieła architektury kościelnej, że w porównaniu z niemi wysławiany portal kaplicy w Jaak wygląda nędznie.

Więcej jeszcze uderza ubóstwo zabytków historycznych pierwszego okresu dynastyi narodowej Arpada (896 do 1301) zestawianych w gmachu romańskim. Katalog tej grupy obejmuje tylko 258 numerów. Odliczywszy kilkadziesiąt odlewów gipsowych kolumn kapitolów, nagrobków i t. d. z których żaden nie budzi żywszego interesu, pozostaje stosunkowo bardzo mało przedmiotów, wyjaśniających stan cywilizacyi Węgier w okresie niemal 5 wieków.

Ciekawą jest wystawiona w krużganku karta Węgier z oznaczeniem drogi, którą Arpad z swą drużyną wkroczył do Węgier. Autorowie karty, sporządzonej z polecenia Dyrekcyi wystawy, oparli swą pracę na relacyi „bezimiennego notaryusza króla Beli“, napisanej w 13-tem stuleciu, ogłoszonej po raz pierwszy, jeżeli się nie mylę, w XVIII stuleciu, i uważanej przez poważnych dziejopisarzy jako zbiór fantastycznych plotek. Według tej relacyi, Arpad wkroczył do Węgier pod Munkaczem, potem na prawym brzegu Cisy postępował na południe aż do Dunaju, zwrócił się następnie na zachód, na lewym brzegu Dunaju dążył znowu na północ aż do Budapesztu, w końcu, zwróciwszy na zachód, dotarł aż do Gyreru (Raab).

go, wywieszono także flagę rosyjską. A więc oddając hołd rewolucyonistom z przed stu laty za to, że zburzyli nienawistne siedlisko, w którem setki osób pozbawionych wolności pędziło gorzkie chwile, równocześnie oddawali Francuzi hołd temu państwu, w którem po dziś dzień znajduje się jeszcze nie jedna, ale kilkadziesiąt Bastylli. Dziwna logika!

„Niby—zamach“ na prezydenta Faure'a był jednym z humorystycznych epizodów tegorocznego święta narodowego i wszyscy ci, którzy owego wieczora pospieszyli do pałacu prezydenta gratulować mu szczęśliwego ocalenia, żałują dziś tego. Prezydentowi nie groziło bowiem żadne niebezpieczeństwo nawet w takim razie, gdyby ów półgłówek François nie z odległości 50 kroków, ale w same ucho był mu wystrzelił. Przed spełnieniem zamachu wykręcił ów François troskliwie wszystkie kule z naboi i wystrzelił prochem w powietrze, a ci, którzy stali w pobliżu jego zapewniają, że równocześnie krzyczał: „Niech żyje prezydent!“. Jestto nawet bardzo prawdopodobne, gdyż na odezwach, które ów François rzucił w dniu 29 czerwca z galeryi parlamentarnej między posłów, dopisał także: „Niech żyje Felix I szy“. Prezydent Faure ma, jak wiadomo, na imię Felix. Prawnicy zastanawiają się nad tem, jaka kara może spotkać tego półgłówka i dochodzą do wniosku, że, jeżeli sąd przyjmie, iż władze umysłowe tego François są normalne, to może go skazać co najwyżej na 15 lub 20 franków grzywny za nieprawne używanie broni.

Zresztą w całej tej uroczystości narodowej nie widziałem ani jednej iskry prawdziwie patryotycznego zapału. Z każdym rokiem obchód 14 lipca nabiera coraz bardziej cechy urzędowej uroczystości. Póki robotnicy mniemali, że parlament zamierza przywrócić monarchię, to starali się objawiać swoje przywiązanie dla rzeczypospolitej. W dzielnicach ludowych ozdabiali w dniu 14 lipca domy zielonością, posągami z gipsu wielkich mężów rewolucyi francuskiej, przypinali sobie na piersiach czapeczki frygijskie i t. d. Manifestacye tego rodzaju dziś prawie ustały. Lud obiaduje i tańcuje na ulicach, wyjątkowo tylko oświeca okna swoje, mało wywiesza chorągwi. W cyrkule n. p. Pól Elizejskich jedynie gmachy urzędowe były oświecone. W okolicach bulwaru Saint Michel skakali studenci, w okolicach ratusza i w pobliżu targu du Temple robotnicy tylko nieliczne korzystali z orkiestr, zachęcających ich do tańca.

Jak co rok, tak i teraz Alzatczycy i Lotaryngczycy złożyli wieńce na placu „Concordia“ u stóp pomnika Strasburga. Muzyka wygrywała podczas tej ceremonii hymn „Boże cara chroń!“ Inna kolumna okwieciła lwa, wystawionego na pamiątkę obrony miasta Belfortu. Złożono też kwiaty u stóp pomnika Bobillota, który poległ w Tonkinie, w Tuyen-Quan.

Miasto co rok zmniejsza sumy poświęcane na uroczystość 14 lipca. Wynosiły one w 1892 roku 400 000 franków, dziś spadły do 287.000. Rząd dawał dawniej na ten cel radzie miejskiej 60.000 fr., obecnie przeznacza jej tylko 50.000; departament Sekwany wypłaca tylko 38.000 franków.

Socyaliści próbowali także manifestować. Zebrali się w małej zresztą liczbie i wyruszyli na cmentarz Père Lachaise. Po dwóch gwałtownych mowach, wypowiedzianych przy grobie Delescluza, najwybitniejszego członka komuny paryskiej, udali się w stronę d u m u r d e s f é d é r é s, to jest muru, pod którym rozstrzelono w 1871 r. tysiące komunistów; chcieli rozwinąć czerwoną chorągiew, ale policya sprzeciwiła się temu.

Pewną okrasą przeglądu wojsk na Longchamps była obecność wielkiego dyplomaty z długim warkoczem wicekróla chińskiego Li-Hung-Czanga. Spóźnił się on o kwadrans i dlatego musiał zająć miejsce w drugim rzędzie krzeseł na trybunie prezydenckiej. Francuzi nadskakują mu bardzo, bo spodziewają się, że Li-Hung-Czang, mając od bogdychana pełnomocnictwo do zakupienia olbrzymich zapasów broni w Europie, poczyni także we francuskich fabrykach znaczne zamówienia. Tymczasem Li-Hung-Czang zamówił już podobno wszystkie armaty w fabryce Kruppa w Essen.

Do tutejszej rady miejskiej wpłynęła petycya o przyznanie dożywotniej pensyi matce i córce Jourda, byłego ministra finansów komuny. Jako na motyw, najbardziej przemawiający za uwzględnieniem tej prośby, powołują się na nadzwyczajną rzetelność Jourda, który, jakto w procesie jego się okazało, mając do dyspozycyi miliony, wydawał na utrzymanie swej rodziny 200 franków miesięcznie, a umierając nie zostawił ani grosza. Jestto rzeczywiście przymiot prawie nieznany dziś we Francyi. Może też dlatego dzienniki prawie wszystkich odcieni są za przyznaniem pensyi rodzinie tego komunisty.

Wystawę obrazów w Salonie na polach Elizejskich już zamknięto. Polski malarz p. Rozen, który wystawił tam portret cara Aleksandra III, doczekał się za to ze strony krytyki francuskiej dwuznacznego uznania, wyrażonego w tych słowach: „To dzieło malarza z Warszawy, który zapomniał o podziale Polski, jest doskonałą próbką malarstwa urzędowego“.

Powstał tu projekt wzniesienia pomnika margrabiemu Morèsowi zamordowanemu przez Arabów na Saharze. Płyną już na ten cel dość obfite składki. Tymczasem Henryk ks. Orleański, znany również podróżnik, podaje projekt, aby w Paryżu wzniesiono zbiorowy pomnik wszystkim podróżnikom francuskim, zamordowanym w dalekich krajach podczas niebezpiecznych a pożytecznych wypraw. Już dziś należałoby wypisać na tym pomniku nazwiska: Massi'ego, Martina, Dutreuil-de-Rhins'a, Crampea Flatterosa, księcia d'Uzès, Mullera i t. d. Później dodawanoby na pomniku nowe nazwiska.

Projekt ten spotyka przychylne przyjęcie.

Encyklika Jego Świętobliwości Leona XIII o jedności Kościoła.

(Ciąg dalszy).

Atoli ordynacyą Biskupów wtedy tylko można uważać za połączoną ściśle z Piotrem wedle nakazu Chrystusa, gdy Piotrowi jest podległą i posłuszną: inaczej czeka ją z konieczności rozproszenie i nieporządek panujący w tłumie. Ażeby zachować jedność i wspólność wiary w sposób należyty, nie wystarcza ani pierwszeństwo zaszczytów, ani posiadanie władzy naczelnej: potrzeba bowiem bezwarunkowo rzeczywistej i najwyższej powagi, którejby cała społeczność była posłuszna. Cóż bowiem miał Syn Boży właściwie na oku, gdy klucze Królestwa niebieskiego przyrzekał był jednemu jedynemu Piotrowi? Że klucze oznaczają tutaj najwyższą władzę, nie pozwala wątpić ani zwyczaj przestrzegany w Piśmie św., ani zgodna opinia Ojców Kościoła. Nie wypada także inaczej tłómaczyć władzy, którą wyposażony został Piotr osobno albo inni Apostołowie wespół z Piotrem. Skoro zdolność wiązania, rozwiązywania i pasterzowania uprawnia Biskupów jako następców Apostołów do rządzenia swoim ludem na mocy rzeczywistej powagi, w takim razie taż sama władza równy pociąga za sobą skutek w obec tego, któremu Bóg sam zlecił paść „owce“ i „baranki“: (S. Brunonis Episcopi Signiensis Comment. in Joann. part III. cap. 21, n. 55). „Chrystus mianował Piotra nie tylko pasterzem pasterzy: pasie tedy Piotr baranki, pasie i owce, pasie dzieci i pasie matki; rządzi poddanymi i rządzi naczelnikami, albowiem w Kościele nie masz nic innego prócz baranków i owiec“.

Ztąd to pochodzą one osobliwe wyrażenia którémi posługują się Ojcowie starożytni, gdy mówią o Piotrze, wyrażenia, które wyraźnie wskazują na niego jako na stojącego na najwyższym stopniu władzy i powagi. Często zowią go „głową zgromadzenia uczni, księciem Apostołów świętych, przywódcą chóru apostolskiego, usty Apostołów głową całej tej rodziny, przełożonym całego świata, pierwszym między Apostoły i filarem Kościoła“.

Wniosek z powyższego znajdziemy w słowach św. Bernarda, skierowanych do Papieża Eugeniusza: (De Consideratione, lib. II. cap. 8) „Któżeś Ty? Tyś jest arcykapłanem, kapłanem najwyższym, księciem Biskupów, spadkobiercą Apostołów... Tyś to ten, któremu wręczone zostały klucze, któremu powierzone zostały owce. Prócz Ciebie są i inni odźwierni niebios i pasterze owczarni; Tobie atoli przedewszystkiem przynależne tytuły, albowiem odziedziczyłeś je w osobnem znaczeniu w wyższym stopniu aniżeli inni. Każdy z nich ma powierzoną sobie poszczególną owczarnią, Tobie zaś powierzoną została cała owczarnia, do której nie tylko owce lecz także pasterze należą: Tyś sam pasterzem wszystkich. Pytasz, jak Ci tego dowiodę? Ze słowa Bożego. Komuż, nie mówię już między Biskupami, lecz nawet między apostoły powierzone zostały owce tak bezwarunkowo i bez zastrzeżeń? Jeźli mię miłujesz Piotrze, paśże owce moje. — Jakież tedy? czyż może ludność tego lub owego miasta, tej okolicy, lub pewnego królestwa? — Moje owce! powiada; któżby nie rozumiał, że nie oznacza on tu niektórych lecz wszystkie? Gdzie nie masz rozróżnienia, tam też nie masz wyjątku“.

Odbiegałby atoli od prawdy i wyraźnie zwalczałby boskie urządzenie Kościoła, ktoby twierdził, że co prawda każdy Biskup pojedyńczy podlega jurysdykcyi Papieża rzymskiego, że atoli Biskupi jako ciało są niezależni. Toć przeznaczeniem i celem fundamentu jest zapewnienie spoistości i siły raczej całej budowli, aniżeli pewnym jej częściom. Prawda ta jest w wypadku, o którym mowa, zupełnie oczywistą. Chrystus Pan bowiem pragnął, ażeby odporność podwalin Kościoła sprawiła, iżby bramy piekielne go nie przemogły. Każdy zatem uznać musi, że obietnica Boska odnosi się do całego Kościoła, nie zaś do jego części pojedynczo wziętych, albowiem bramy piekielne mogą je przemódz istotnie i też niejedne z nich w ten sposób uległy.

Z drugiej strony kto stoi na czele całej owczarni, musi koniecznie nie tylko nad pojedyńczemi owcami, lecz nad całą panować owczarnią. Albożby może owczarnia kieruje pasterzem? Zaliż tedy następcy Apostołów są jako ciało fundamentem, na którym oprzeć się musi następca Piotra, szukając oparcia trwałego? Kto posiada klucze królestwa, ten zarazem musi posiadać jurysdykcyą i władzę nie tylko w poszczególnych dzielnicach, lecz w całem królestwie: i podobnie jako biskupi i to każdy w swej dyecezyi rozkazują na mocy swej powagi nie tylko poszczególnym jednostkom świeckim, lecz panują nad ogółem, takoż Papieże rzymscy, których władza rozciąga się nad całą społecznością chrześcijańską, obowiązali sobie do podległości i posłuszeństwa wszystkie jej części, choćby one złączyły się w jedno. Chrystus Pan wyznaczył, jak to już wykazaliśmy, Piotra i jego następców na swoich Namiestników, ażeby na zawsze panowali w jego Kościele w ten sposób, w jaki On sam panował podczas Swego pobytu na ziemi. Czyż teraz zechce ktoś jeszcze twierdzić że kolegium Apostolskie przewyższa pod względem powagi swego mistrza? (C. d. n.)

Powstanie oleju skalnego.

W jednym z poprzednich numerów *Przeglądu* podaliśmy krótką wzmiankę o ostatniej hypotezie naukowej co do tworzenia się oleju skalnego czyli nafty. Dziś na prośbę kilku czytelników podajemy bliższe szczegóły tej interesującej kwestyi.

Skąd się wzięła nafta? Na to pytanie usiłowała wiedza kilka razy odpowiedzieć, lecz dotychczas jedna hypoteza za drugą rozpadały się pod podmuchem krytyki. Pierwszą hypotezę oparto na następującem spostrzeżeniu: Jeżeli drzewo podda się suchej destylacyi, to znaczy, jeżeli wystawi się je na działanie wysokiej temperatury przy zupełnem odcięciu powietrza, to się otrzyma węgiel, maź i gaz. Otóż przy takiej suchej destylacyi prastarych zapadłych pod ziemię lasów, musiał się wytworzyć płyn podobny do mazi, a więc olej skalny, a zarazem spora ilość gazu. Za hypotezą tą przemawiało to, że w towarzystwie nafty znajdują się zazwyczaj pokrewne z nią gazy. Ale geologia obaliła tę teoryę, zwracając uwagę na to, że przecież nafta znajduje się w głębokich pokładach dewońskich i sylurskich, węgiel zaś jest produktem epoki o wiele późniejszej, gdyż leży w pokładach drugorzędnych, a więc płytszych i bliższych dzisiejszej skorupy ziemskiej. Nafta zatem nie mogła się wytworzyć w tym samym czasie co węgiel i razem z nim zawdzięczać swoje powstanie zapadłym lasom pierwotnym. Także chemia podniosła przeciw tej teoryi swoje zarzuty, wykazując, że maź i nafta są to produkty wprawdzie podobne niektórymi właściwościami, ale zasadniczo różne co do sposobu powstawania. Drugą hypotezę stworzyli znakomici chemicy Francuz Berthelot i Rosyanin Mendelejew. Jest ona bardzo zawiła, a da się w krótkości streścić w ten sposób: Nafta zawdzięcza swe powstanie metalom alkalicznym, które zetknąwszy się z wodą dają jako produkt pośredni gaz acetylen. Od acetylenu zaś niedaleko do nafty. Lecz geologowie zaprotestowali także i przeciwko tej teoryi, bo metale alkaliczne znajdują się ich zdaniem w całkiem innych pokładach, niż te, w których kopiemy naftę.

Twórcą ostatniej hypotezy jest Engler w Karlsruhe. Nie poprzestał on na teoretycznych rozumowaniach, lecz starał się w myśl swoich domysłów, naśladując naturę, wytworzyć sztucznie olej skalny. I to mu się rzeczywiście udało. Otrzymał on naftę nie z drzewa lub z metali alkalicznych, ale z tłuszczu organicznego, wystawiwszy go na działanie wysokiej temperatury i ogromnego ciśnienia przy zupełnem odcięciu powietrza. Ta sztuczna nafta sporządzona na razie tylko z tranu rybiego, zawiera te same chemiczne składniki co nafta wydobywana w kopalniach Ameryki północnej.

Teraz dopiero zdziwili się wszyscy uczeni, że im nigdy nie przyszło na myśl zastanowić się, gdzie się właściwie podziały te tłuszcze organiczne, nietylko zwierzęce, ale i roślinne, które od lat tysięcy wytwarzały się na ziemi? Wszystko jest znikome, dla każdej istoty uderza godzina śmierci; cóż się potem dzieje ze składnikami ciała tych istot? Te części, które się składają z ciał białkowatych i węglowodanów rozpadają się znowu na pierwiastki, zaś kwas węglowy, woda, amoniak ulatniają się. Ale tłuszcz zostaje i nie tak prędko wietrzeje, bo wietrzejąc pokrywa się twardą powłoką, a ta powłoka właśnie chroni tłuszcz od dalszego wietrzenia, gdyż dostęp powietrza jest już odcięty. Tłuszcz dostał się potem, w epokach ogromnych wylewów i zmian tellurycznych do wody, opadł na jej dno, został przykryty szlamem morskim, następnie zaś, przy nowych przewrotach geologicznych, przykryły go olbrzymie warstwy dewońskie i sylurskie, które dostarczyły odpowiedniego ciśnienia. W ten sposób — według nowej teoryi Englera — przez wieki utworzyła się w głębiach ziemi nafta.

Naftę znano już w starożytności, lecz dopiero w połowie XIX wieku zaczęto ją wydobywać jako materyał służący do oświetlania. Na krótko przed rokiem 1860 powstała w północnej Ameryce formalna gorączka nafciarska, podobna do gorączki złota w kopalniach kalifornijskich. Wszystko co żyło wierciło studnie artezyjskie i czekało na wytrysk nafty. Kiedy jeszcze w r. 1859 produkcya nafty ograniczała się na 82000 beczek, w r. 1861 produkowały Stany Zjednoczone już 2,100.000 beczek! Dziś naturalnie produkcya ta sięga dziesiątek milionów beczek, zdaje się jednak, że źródła naftowe w północnej Ameryce już się wyczerpały. Nafta to wogóle produkt, który za jakie sto lat może należeć już do przeszłości. Pomimo tego niepotrzebujemy się obawiać, że nam bez niej będzie ciemno na świecie: elektryczność i gaz rychło ją zastąpią. Ci, którzy żyją z nafty, powinni pamiętać o tem, że skarb ich nie jest niewyczerpany.

KRONIKA.

Lwów 23 lipca.

Rekolekcye dla kapłanów tutejszej archidyecezyi łać. odbędą się w roku bieżącym we Lwowie w seminaryum duchownem rzym. kat. od 10go sierpnia wieczorem do 14go t. m., którego to dnia rano zakończą się wspólną komunią św. Nauki miewać będzie O. Łubieński, Redemptorysta. Wczesne zgłoszenia adresować należy do rektoratu seminaryum.

Konkurs na posadę lekarza okręgowego w Lipnicy dolnej rozpisuje wydział powiatowy w Rohatynie. Okręg obejmuje 12.453 mieszkańców. Pobory roczne 800 złr., termin do 31 sierpnia.

Prezydyum Magistratu lwowskiego rozpisuje konkurs na trzy posady praktykantów konceptowych z rocznem adjutum 600 złr. w. a. Termin do 15 sierpnia.

Rozwiązanie Rady gminnej w Budzanowie nastąpiło z powodu lichej gospodarki 13 b. m. Sprawami gminnemi zawiaduje c. k. komisarz starostwa z Trembowli.

Nowe stacye telegraficzne. Przy urzędach pocztowych w Dobczycach (powiat wielicki), Bieczu (powiat gorlicki) i Izdebniku (powiat wadowicki) otwarte zostaną dnia 25 b. m. stacye telegraficzne z ograniczoną służbą dzienną.

Spisek podobno uknuto w Paryżu podczas ostatniego pobytu tam „postępowców“ wiedeńskich, spisek przeciw hr. Badeniemu. Pewien publicysta zapewnia, że liberałowie węgierscy i przedlitawscy pragną obalić hr. Badeniego, aby postawić na jego miejsce „męża“, któryby wytępił wiedeńskich antisemitów z kretesem, czyli jak powiada *Neue Freie Presse* „*mit Putz und Staengel*“. Liberałowie po tej i tamtej stronie granicznej rzeki Litawy wybrali w tej kampanii wodzem starego Kolomana Tiszę, oddanego liberalizmowi duszą i ciałem. Taktyka Tiszy, działającego przeciw hr. Badeniemu, ma polegać na tem, iż on rozpocznie parlamentarną opozycyą *á outrance* przeciw wszelkim propozycyom ugodowym gabinetu Banffiego, by tylko nie dopuścić do załatwienia sprawy ugodowej przez hrabiego Badeniego, o którym sprzysiężeni sądzą, iż z tą sprawą stoi on i pada, mianowicie, dlatego, iż Cesarz mu ją poruczył do śpiesznego załatwienia, oznaczając ją jako jego najgłówniejsze zadanie.

Naszem zdaniem, może komuś świta w głowie myśl takiego spisku, ale żeby liberałom peszteńskim bardziej szło o dobro liberałów wiedeńskich, niż o ugodę austro-węgierską, temu trudno uwierzyć.

Nowe źródła nafty odkryto w Starzawie i Suszycy wielkiej pod Chyrowem, gdzie na 140 m głębokości natrafiono na bardzo obfite źródła; wydobywające się stamtąd gazy są tak silne, iż często przeszkadzają w dalszem wierceniu.

Budowę kolei lokalnej Borki wielkie—Grzymałów oddał Wydział krajowy w przedsiębiorstwo firmie Smoliński, Olewiński i sp.

Strejk w Krakowie. Wczoraj odbyła się w Krakowie konferencya majstrów stolarskich przy współudziale reprezentantów władzy przemysłowej, w sprawie strejku robotników stolarskich. Po trzygodzinnych naradach uchwalili majstrowie stolarscy, podobnie jak poprzednio niektórzy przedsiębiorcy budowlani: czas pracy w warsztatach ręcznych ustanowić na 10 godzin, a w fabrykach na 9 godzin, oraz obecne płace stolarzy podwyższyć o 5%, wszystko w 14 dni po ukończeniu bastówki. Na podwyższenie *minimum* płacy tygodniowej z 6 na 7 złr. majstrowie nie zgodzili się, gdyż jak podniesiono na zgromadzeniu, są tacy robotnicy którzy potrafią zarobić zaledwie 4 — 5 złr., ale nie brak znowu takich, którzy zarabiają po 10, 12 i więcej złr. Gdyby więc w ogóle w zawodzie stolarskim (jak zresztą w każdym rzemiośle) kładziono główny nacisk na stałe wynagrodzenie tygodniowe, byłoby to krzywdą dla samychże robotników, uwzględniając różnicę zdolności i pilności w pracy. Uwiadomieni o wczorajszych uchwałach majstrów robotnicy stolarscy zwołali już zebranie w celu naradzenia się nad temi uchwałami.

Śp. Władysław Ordęga. O życiu i działalności zmarłego, w uzupełnieniu podanej już wiadomości, zamieszczamy następujące szczegóły: Nową i dotkliwą stratę poniosła kolonia polska w Paryżu. Dnia 14 lipca nagle umarł w Paryżu powszechnie szanowany Władysław Ordęga. Był on synem znanego w dziejach wychodźtwa naszego Józefa Ordęgi. Dyplomacya francuska liczyła tylko dwóch Polaków, którzy doszli do wysokich stanowisk: Władysława Ordęgę i Adama Sienkiewicza. Adam Sienkiewicz jeszcze w służbie; Ordęga od paru lat dopiero podał się do dymisyi. Zimę ostatnią przepędził w Polsce, zostawia wdowę, cztery córki i syna. Opuściwszy służbę, pragnął zająć się bliżej rzeczami polskiemi i oddać się pracom historycznym nad dziejami naszemi. Pociecha ta nie była mu daną. Władysław Ordęga wystąpił pierwszy raz publicznie na tak zwanym *banquet des écoles* w kilka tygodni po rewolucyi 1848 roku. Prezydował tej uczcie pan Hipolit Carnot. Ordęga w mowie swojej wyraził nadzieje, któremi przepełnione były wówczas serca polskie. Później pełnił czas jakiś obowiązek profesora w szkole polskiej batignolskiej, następnie obrał sobie zawód dyplomatyczny. Podczas wypadków 1863 roku czynnie pomagał ojcu swojemu, który starał się za granicą o wyjednanie pomocy dla powstania od rządów i ludów. Krępowało go stanowisko dyplomatyczne: dla tych względów prace poświęcone Polsce ogłaszał bezimiennie. Mianowany posłem francuskim przy dworze Marokańskim, wpadł do walczenia z chwiejnością i małodusznością pana de Freycinet, zalęcającego go do stawienia czoła Anglikom i opuszczającego go przy pierwszym objawie niezadowolenia gabinetu St. James. Władysław Ordęga był również posłem francuskim w Rumunii, poruczono mu ostatecznie załatwienie pewnych spornych kwestyi między Francyą a Hiszpanią. Na jego pogrzebie panowie Decrais i Paléologue reprezentowali urzędownie ministerstwo spraw zagranicznych; byli też p. Laboulaye, baron d'Avril i kilku innych dawnych kolegów śp. Ordęgi. Ks. Orpiszewski, przełożony misyi polskiej w Paryżu, odmówił ostatnie modlitwy nad grobem w Montmorency, poczem Władysław Mickiewicz przypomniał w kilku słowach, że, jeżeli pokolenie, do którego należał śp. Ordęga, nie doczekało się lepszej doli dla Ojczyzny, to dotrwało do końca w wierze narodowej i w nadziei pomyślnej przyszłości Polski; że przekonanie, iż Bóg zasługi tego pokolenia policzy Polsce, powinno być osłodą dla stroskanej rodziny i przyjaciół zmarłego.

Izba handlowa w Tarnopolu. Dzienniki wiedeńskie podają wiadomość, że w odpowiedzi na wniosek śp. posła Pohoreckiego, postawiony na ostatniej sesyi sejmowej, aby trzecią Izbę handlową galicyjską przenieść z Brodów do Tarnopola, Wydział krajowy sprzeciwi się temu na najbliższej sesyi sejmowej, a zaproponuje rozpocząć starania o kreowanie Izby handlowej w Stanisławowie.

W Kołomyi ukonstytuowała się rada miejska wybierając burmistrzem p. Witosławskiego, jego zastępcą p. Funkensteina, a pierwszym płatnym asesorem p. Stadniczenkę.

Nowe towarzystwo naftowe. Do Wiednia nadeszła z Londynu wiadomość, iż w tych dniach ma być zarejestrowane zapowiadane oddawna, angielsko-galicyjskie towarzystwo naftowe pod firmą: „Standard Oil Company of Galicia“. Towarzystwo nabyło w okolicach Schodnicy czterdzieści cztery szyby za cenę 700.000 funtów szterlingów t. j. 17 milionów koron w. austr. Kapitał zakładowy nowego towarzystwa wynosi milion funtów szterlingów.

W sprawie budowy kościoła w Kochawinie odniósł się jeden z czytelników do nas z prośbą, byśmy ogłosili d z i e s i ę c i o c e n t o w ą składkę na pomnożenie funduszu budowy tego kościoła. Myśl to dobra; popieramy ją jak najgoręcej w przekonaniu, iż ofiara tak drobna nikogo nie zuboży, a z tych dziesięciocentowych datków powstanie rychło

---

Powtarzamy, to zbyt dokładne itinerarium notaryusza króla Beli nie popłaca przed trybunałem krytycznej historyografii. Ale świeże wykopaliska nibyto potwierdzają powieść notaryusza. Pod Kecskemetem w r. 1845 odkryto szkielet rycerza, resztki broni i kości głowy konia; podobne szkielety wykopano pod Toertel w komitacie peszteńskim. Oba wykopaliska zawierają witryny w krużkanku gmachu romańskiego pod numerem 2 i 18 cie. Autentyczność relacyi bezimiennego notaryusza wykopaliska te stwierdzałyby jednak tylko wtenczas, gdyby było rzeczą dowiedzioną, że jedynie wodzów madziarskich składano w grobie z koniem. Ponieważ jednak wiemy, że ten zwyczaj w czasach pogańskich był bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza też bardzo długo pomiędzy Słowianami, wykopaliska owe, starannie zaznaczone na wymienionej karcie, nie dowodzą niczego.

W witrynie kaplicy romańskiej (nr. 181) jest sławny, wyszczerbiony róg z kości słoniowej, którym według podania, wódz madziarski Lehel po bitwie pod Augsburgiem (955) śmiertelnie ugodził króla niemieckiego Konrada. Róg ten, przechowywany od dawna w muzeum miejskiem Jaszberenu, niewątpliwie byłby ciekawym zabytkiem, gdyby owo podanie opierało się na autentycznych danych. Jest jednak rzeczą dowiedzioną, że dopiero w wydanej r. 1788 w Wiedniu broszurze Molnara po raz pierwszy zjawiła się owa legenda.

Pomiędzy nie zbyt licznemi dokumentami pierwszej epoki, byłby najciekawszym oprawiony w złote ramy (nr. 118) list św. Szczepana udzielający przywilej opactwu w Panonhalmie, którego przedostatni przeor Vaszary zasiadł na stolicy prymacyalnej. Jednakże krytyka historyczna twierdzi, że ten przywilej został podrobiony znacznie później z niewinnej zresztą ambicyi otoczenia opactwa urokiem nadzwyczajnej starożytności.

Kilkanaście innych dokumentów, dostarczonych przez tajne archiwum cesarskie z Wiednia, nie obudza podejrzliwości co do autentyczności. Znajduje się pomiędzy niemi (nr. 258) zaopatrzony w sześć pieczęci, zawieszonych na wstążkach, traktat, zawarty 12 lipca 1277 roku pomiędzy cesarzem Rudolfem Habsburgskim a królem węgierskim Władysławem; jak wiadomo, w imię tego traktatu obaj władzcy wspólnie nad Morawą wystąpili do walki z Otokarem czeskim, którego pokonanie umożebniło utwierdzenie się dynastyi habsburskiej w Austryi. Dalej przywilej Beli IV z r. 1268 zatwierdzający swobody szlachty, a stanowiący najstarsze, przechowane w oryginale prawo węgierskie. Rzecz uderzająca, że pomimo licznych związków pomiędzy Polską a Węgrami, z tej pierwszej epoki nie przechował się żaden dokument polsko-węgierski.

Przerywając tymczasem przegląd zabytków historycznych, przechodzimy do wystawy malarskiej.

Sztuka malarska, na Węgrzech jest tak młodą jak u nas, nie stanęła jeszcze na tych wyżynach, na jakie Polska się wzniosła w utworach Grottgera, Matejki i Siemiradzkiego, ale wydała jednak mnóstwo dzieł nowożytnych składających się na ciekawą galeryę narodową. Umieszczono ją w nowym pałacyku o pretensyonalnym portyku greckim, na końcu ulicy Andrassego, przed wejściem do lasku miejskiego. Dwa najznakomitsze obrazy mistrzów węgierskich „Zajęcie kraju“ Munkaczego i „Zdobycie Budy“ r. 1688 Benczara, nie znajdują się na wspólnej wystawie obrazów. Pierwszy czeka w pałacu muzealnym, aż się przeniesie do sali obrad nowego gmachu sejmowego, drugi zdobi pawilon Budapesztu na wystawie jubileuszowej. Obraz Munkaczego jest trochę chłodny. Jako znakomity realista, zbliżający się czasem do naturalizmu à la Courbet, albo Zola, Munkaczy nie umie się podnieść na wyżyny malarstwa historycznego. Nie dostaje mu gorącego zapału, ani zmysłu świetnego kolorytu. Nie ma ani talentu Matejki, ani Makarta, jest to raczej Dickens, ale nie Szekspir (jako autor dramatów historycznych). Jego „Zajęcie kraju“ jest więc utworem w głównej rzeczy chybionym, słabszym, niż znany jego obraz, zdobiący plafon przedsionka pałacu muzeum sztuk pięknych w Wiedniu, i nie dorywnujący jego sławnej trylogii „Chrystusa“.

W pałacu galeryi obrazów znajduje się kilkanaście innych utworów Munkaczego, po większej części portrety i krajobrazy. Wyższą wartość posiada obraz „Strejk“, na którym znowu w pełni zajaśniała zdolność tego mistrza w odtwarzaniu scen ponurych, zwłaszcza ludowych. To zgromadzenie ludowe przed strejkiem w sposób wyborny wyobraża całą skalę typów armii „robotniczej“: od wychudłego marzyciela-apostoła — który, wskoczywszy na stół, rzuca w ciemny tłum frazesy, w które może sam wierzy, choć ich nie rozumie — aż do szarych, gnuśnych fizyonomii bez wyrazu, ludzi, którzy ślepo idą za większością. Obok obrazu „Ostatni dzień skazanego na śmierć“, któremu młody Munkaczy zawdzięczał pierwsze swe sukcesy, ten najnowszy „Strejk“ jest niezawodnie najlepszym jego utworem. Na wystawie paryskiej w roku 1878 z innymi podziwialiśmy Munkaczego „Miltona, dyktującego córkom Raj utracony“, który mistrzowi zjednał medal złoty. Jeżeli się nie mylimy, obraz ten znajduje się od dawna w Ameryce, skąd nie zdołano sprowadzić go na wystawę jubileuszową.

Znakomity obraz historyczny zawdzięczają Węgrzy profesorowi Benczarowi. Jego „Wkroczeniu Karola lotaryńskiego do zdobytej na Turkach Budy“ nie dostaje wprawdzie dramatycznego ożywienia obrazów Matejki, ale jednak utwór Benczara można zaliczyć do szeregu pierwszorzędnych obrazów historycznych. W cesarskiej galeryi wiedeńskiej stanąłby tuż obok „Rejtana“, a zaćmiłby wszystkie inne obrazy historyczne nowej szkoły. Pod potężnym łukiem bramy, przez którą z daleka świeci srebrny Dunaj, wjeżdża do zdobytej warowni Karol ks. lotaryński z wodzami wojsk cesarskich; przed leżącym na ziemi trupem baszy książę zatrzymał paradnego siwego wierzchowca, który stanął jak wykuty z marmuru. Po prawej stronie trębacz na gniadym koniu wygłasza fanfarę zwycięstwa. Drugi ten koń, arcydzieło wydoskonalonej perspektywy i sztuki cieniowania, całkiem plastycznie występuje z płótna. W technice „pleneru“ mistrz węgierski dorównał swym najsławniejszym wzorom monachijskim i paryskim. To też w środkowej sali pawilonu stolicy inteligencya z zapałem zatrzymuje się przed obrazem Benczara.

Na właściwej wystawie obrazów znajduje się tylko kilka mniejszych płócien Benczara, mianowicie: „Swawolny amor“, znany jako doskonały portret cesarza i króla, wymalowany z polecenia komitatu peszteńskiego, portrety ś. p. arcyksięcia Albrechta i hrabiego Tassila Festeticza, i „Ludwik XV i pani Dubarry.“

Rzecz ciekawa, że niemal wszystkie obrazy historyczne ostatnich czasów przybyły w skutek zamówienia rządu (jak „Zajęcie kraju“ Munkaczego), miast lub komitatów węgierskich. Świadczy to o gorliwej opiece, jakiej tutaj doznają sztuki piękne ze strony instytucyj narodowych. Z zamówienia komitatu Goemoer powstał ładny obraz historyczny: „Spotkanie się Maryi Szechy ze swym zwycięzcą Wesselenym“, z polecenia miasta Tordy obraz sejmu r. 1567, z polecenia miasta Theresiopol trochę sztywny obraz nadania tej osadzie praw miejskich itd.

Najlepszy z tych obrazów utworzył znany już jako zdolny malarz rodzajowy i portrecista Aleksander Bihari. Z polecenia Wielkiego Waradu odtworzył scenę powitania Władysława Jagiełły w katedrze wymienionego miasta przez króla Zygmunta, Luksemburczyka. Postać zgarbiona i dobroduszna, którą mistrz węgierski przypisał Jagielle, nie zupełnie się zgadza z naszą tradycyą historyczną, ale na pierwszy rzut oka poznać, że dwór węgierski stara się przyjąć potężnego sąsiada i gościa z największymi honorami. Dobra technika i należyty dobór barw młodemu mistrzowi wróżą świetną przyszłość.

Z innych obrazów historycznych zasługuje jeszcze na uwagę Grünwalda „Powrót króla Beli IV“ do spustoszonego najazdem Tatarów kraju, Horoknyaja „Król Maciej pod Wiedniem“, gdzie mu radzcy miejscy oddają klucze stolicy, Liezen-Majera obraz, przedstawiający scenę, gdy młodziutkiemu Maciejowi, wychowującemu się na dworze czeskim, deputacya węgierska w r. 1458 oznajmia wybór na króla Węgier, Patakiego Ilona Zriny, oddająca zamek Munkaczu wojskom cesarskim, Webera „Wjazd króla Macieja do Budy“, Revesza „Petoefi w obozie“ itd. Słowem, kierunek historyczny w gronie młodych malarzy węgierskich znajduje licznych, uzdolnionych reprezentantów. Pełno zresztą wybornych portretów Munkaczego, Benczara, Horowitza i innych, tudzież ciekawych obrazów rodzajowych.

Osobny pawilon naprzeciwko pałacu galeryi obrazów mieści panoramę Fesstego, wyobrażającą wtargniecie Madziarów pod dowództwem Arpada do północnych Węgier. O ile odtwarzający tę samą chwilę obraz Munkaczego grzeszy chłodem i sztywnością, o tyle na odwrót panorama Fesstego razi wojowniczą przesadą. Ostatecznie łatwo się domyśleć, że w IX stuleciu zajęcie kraju nie odbyło się w sposób idyliczny, ale takt, a nawet najprostsza przezorność powinny były przeszkodzić odtwarzaniu tych prawdopodobnych scen krwawych. Zresztą od 25 lat technika panoram tak się wydoskonaliła i spowszedniała, że nawet pod czysto artystycznym względem trudno unosić się nad utworem Fesstego, chociaż widocznie bardzo się podoba, bo zwabia tłumy widzów. *E. L.*

sama wystarczająca na ukończenie budowy kościoła w Kochawinie. Jednakowoż sam sposób zbierania tych datków uważamy za uciążliwy dla samych ofiarodawców, bo przesyłający na nasze ręce dziesięć centów, musieliby jeszcze pięć i pół centa wydać na portoryum, a te pieniądze możnaby również obrócić na rzeczony cel. Dlatego odzywamy się do wszystkich ludzi dobrej woli, którym sprawa rychłego wykończenia świątyni Bożej leży na sercu, by pośredniczyli w zbieraniu takich drobnych ofiar na miejscu, a gdy się zbierze większa suma, by wprost odsyłali pieniądze do ks. Jana Trzopińskiego, proboszcza w Kochawinie. Sposób to najtańszy, a przy znanej gorliwości naszego społeczeństwa tam, gdzie o chwałę Bożą się rozchodzi, także najpraktyczniejszy.

Stary Sącz 20 lipca. W prastarym klasztorze bł. Kingi wybrały sobie Panny Klaryski nową na lat trzy przeoryszę czyli ksienię w osobie siostry Łucyi Hajdinger. Można im powinszować wyboru. Na czele pamiątkowego historycznego klasztoru, który zarazem jest instytucyą naukową, bo naucza we własnej siedmioklasowej szkole, mającej prawo publiczności, a 400 panienek uczęszcza do niej, stanęła zakonnica pobożna a wykształcona, z patentem do szkół ludowych i wydziałowych, w sile wieku, ma lat 36, a 17 powołania zakonnego i pracy w szkole — szerokiego umysłu i roztropnej energii. I klasztor i szkoła na tym wyborze tylko zyskać wiele może. Byłoby arcypożądaną rzeczą, aby kilka panien, czujących w sobie powołanie zakonne, niżej lat 30 wieku, uzdolnionych i wykształconych, mających zwłaszcza patent nauczycielski, a głos dobry do śpiewu choralnego, zasiliło to Zgromadzenie, ze wszech miar czci i poważania godne, bo zachowujące najściślej regułę św. Klary i życie wspólne, a pracujące nad siły i to już przez lat 74 nad wychowaniem panienek i w szkole i w internacie własnym.

Z Nowego Sącza, pisze *Czas*, dochodzą pocieszające wiadomości. Klasa robotnicza, a zwłaszcza w warsztatach kolejowych i w tak zwanej „kolonii" gdzie socyaliści krakowscy pozarzucali swe sieci, ocknęła się wreszcie z letargu. W ostatnich dniach liczne grono najzacniejszych robotników, rzemieślników i kolejarzy, na zachętę OO. Jezuitów, powzięło piękny zamiar założenia Stowarzyszenia „Przyjaźni" i rzeczywiście w niedzielę ubiegłą zamiar swój przyprowadziło do skutku. Odrazu zapisało się około 150 robotników, a dyrektor warsztatów kolejowych p. Zborowski wraz z urzędnikami swymi zapisali się na członków nadzwyczajnych. Oczywiście stało się to, czego się można było spodziewać. Socyaliści, którzy sądzili, że już stanowczo gospodarować tu będą, uderzyli na alarm, krzyczą, hałasują i pocześniej robotnikom, co mieli odwagę zerwać z nimi i stawić im czoło, dokuczają, gdzie mogą. Trafiła atoli kosa na kamień. Jak bowiem cała ta zbożna robota rozpoczęła się w porozumieniu z zacnym dyrektorem ruchu p. Kolosvarym, tak i p. Zborowski, dyrektor warsztatów kolejowych w Nowym Sączu, zaledwie usłyszał o sprawkach socyalistycznych robotników, wydał i ogłosił surowy zakaz dokuczania tym robotnikom, którzy biorą udział w „Przyjaźni". W Sączu tak Nowym jak Starym, ogólna zład radość i zaczynamy naprawdę spokojniej oddychać w tych pięknych zakątkach, które już socyalizm począł był zachwaszczać. Potrzeba tylko stanowczości i wytrwania, a świetne mieć będziemy rezultaty z nieocenionym pożytkiem dla naszego biednego społeczeństwa, na którem wszelakiego rodzaju warchoły cudzym kosztem urządzają sobie doświadczenia.

Rabka 21-go lipca. Życie zawrzało w Rabce. Równocześnie z ustalającą się pogodą, zjeżdża mnóstwo gości do zakładu. Wycieczki, festyny, koncerty na porządku dziennym. W niedzielę odbył się wieczór muzykalno-wokalny „Zjednoczenia" stowarzyszenia kształcącej się młodzieży w Krakowie. Koncert świetnie wypadł. Słowo wstępne, deklamacya, chór, śpiewy solowe, przepyszna gra na fortepianie, wszystkie punkty programu były z zapałem oklaskiwane przez licznie zebraną publiczność. Po wieczorze mieliśmy tany, które przeciągnęły się do 3 godziny rano. Wszyscy uczestnicy wieczoru przyznają jednomyślnie, że takiej zabawy, jak po koncercie „Zjednoczenia" dawno nie było. Z prawdziwem zadowoleniem podnoszę tu wszystkie punkty programu, wykonane siłami akademickiemi. Z przykrością natomiast zaznaczam, że „chór akademicki" agituje wszędzie na niekorzyść „Zjednoczenia". Dziwna rzecz a jednak prawdziwa. Jak sąd publiczność zapatruje się na to, najlepszy dowód mamy w tem, że przedstawiciele „Zjednoczenia" uproszono o powtórzenie koncertu w Rabce w tych dniach. „Zjednoczenie" daje wieczór muzykalno-wokalny we czwartek dnia 23 b. m. w Szczawnicy, dnia 25 w Żegiestowie. *Warszawiak.*

Na granicy. Chłop galicyjski, który w pobliżu Sosnowic chciał przekroczyć rosyjską granicę bez paszportu, został przez kozaków zastrzelony. Urzędnika celnego, który pospieszył napadniętemu z pomocą, również postrzelono.

Długowieczność. W Aniche koło Donai we Francyi zmarła niejaka Aniela Rostkowska w 112 roku życia. Urodzona w roku 1784 w Warszawie, odbyła jako żona kapitana liczne bitwy, w których funkcyonowała jako felczerka. W wojnie krymskiej brała udział po stronie Francyi już jako 71-letnia staruszka i była kilkakrotnie ranną. S. p. Rostkowska z domu Mazurkiewicz była matką piętnaściorga dzieci, które osiedliły się i wymarły w Polsce.

Emigracya do Kanady sam zachwalana i przeciwstawiana emigracyi brazylijskiej, jest jednak niemniej ryzykowną i niebezpieczną. *Narodna Czasopyś* umieszcza jako przestrogę dla tych, którzy chcą emigrować do Kanady następujący list p. Jurkiewicza z Boratyna. „W r. 1893 wyjechał z Boratyna (pow. brodzki) Jakim Petruś z rodziną do Kanady i pisał listy do Boratyna, że osiadł w mieście Winnipeg, że mu się tam bardzo dobrze powodzi i że życzy każdemu, aby mógł tam przyjechać. Raz nawet przysłał swoją fotografię, która go przedstawiała jako człowieka bardzo porządnie ubranego, mającego zegarek. Tym listom tak uwierzyli włościanie, że wszyscy mieli chętkę emigrować go Kanady. Tego roku w kwietniu wyjechał Jan Zielinski, Fedko Petruś i Łazarz Magoła, wszyscy trzej z Boratyna. Każdy z nich sprzedał po kawałku pola, za co zyskał mniej więcej 200 zł. Mieli oni nadzieję, że jeżeli im się w Ameryce powodzić będzie, zabiorą z sobą potem i rodzinę. Dnia 17 lipca b. r. otrzymałem list, z którego dowiedziałem się o ich losie. Kiedy przyjechali do Kanady i odszukali Jakima Petrusia, przekonali się, że to wszystko nieprawda, co pisał w swoich listach. Mieszkał on na stancyi w mieście Winnipeg i żył z tego, co jego żona zarabiała praniem bielizny, ale to zaledwie wystarczało. On sam nie miał żadnego zajęcia. Wszyscy trzej poszli na miasto szukać roboty, ale nie umiejąc po angielsku, nie znaleźli jej nigdzie. Wyrzekając na Jakima, pojechali do innych miast szukać roboty, lecz przebywszy 645 mil angielskich, musieli wracać do Jakima z próżnemi rękami. Gruntów brać nie chcieli, bo im dawano głębę moczarowatą, niezdatną do uprawy, a trzeba było płacić 10 dolarów (25 złr.) za akr, to znaczy za pół morga. Ze zgryzoty i żalu za krajem i rodziną, zachorowali i to ciężko, bo na tyfus. Kiedy byli w gorączce, Jakim Petruś dobył się do kuferka Magoły i zabrał mu 25 dolarów. Magoła wyzdrowiawszy, domyślił się kto go okradł i prosił Jakima, aby mu oddał pieniądze, lecz Jakim odrzekł, że mu się te pieniądze należą, a kto chce, niech go pozywa. Teraz są wszyscy trzej bez grosza, chorzy i piszą, aby im dać ratunek, bo inaczej umrą z głodu i nędzy. Jest tam dużo naszych ludzi a każdy z nich płacze i narzeka na godzinę, w której usłyszał o Kanadzie".

Rainilaiarivony, 70 letni były małżonek królowej Madagaskaru i jej pierwszy minister umarł w piątek w Mustafa-Superieur koło Algieru. Jeszcze 14 b. m. był Rainilaiarivony na rewii w Algierze ale czuł się już tak słabym, że słudzy musieli go wynieść na trybunę. W Mustafa-superieur przebywał on od czasu, kiedy Francuzi zdobyli Madagaskar. Z pobytu jednak tamże nie był expremier madagaskarski zadowolonym, choć obchodzono się z nim łagodnie i po ludzku. Brakowało mu blasku dawnego i władzy, brakowało ruchliwego życia, do którego przywykł był jako regent Madagaskaru. W Mustafa-superieur czuł się zawsze tylko niewolnikiem, chociaż kajdany, które nosił nie były ani zbyt ciężkie, ani zbyt ciasne.

Bajeczki nieśmiertelnego. Pod tym tytułem podaliśmy przed kilku dniami treść dwóch bajeczek nowego członka Akademii francuskiej Gastona Paris, zaznaczając, że bajeczki owe są właściwie literacką własnością dwóch niemieckich poetów: Rückerta i Wielanda. Otóż w sprawie autorstwa pierwszej bajeczki otrzymaliśmy od ks. M. Burczyka w Falkenbergu list, w którym czytamy:

„Proszę wziąć do ręki kazania adwentowe ks. Jędrzeja Murczyńskiego Soc. Jesu, wydane w Sandomierzu r. 1753. Znajduje się tam kazanie trzecie na niedzielę trzecią Adwentu dosłownie: „Dzisiejsze kazanie od Barlaamowej przypowieści zaczynam. Młodzian jeden w głębokiej puszczy przed szybko bieżącym za sobą jednorożcem uciekając, napada na drzewko, nad przepaścią wyrosłe, chwycił się owego drzewka, jedną nogą na skale a drugą się na drzewku oparłszy: w tym spojrzy pod drzewko, aż jego korzeń dwie myszy, jedna biała a druga czarna podgryzają, spojrzy w przepaść, aż smok straszny na niego dybie i paszczękę otwiera, wejrzy na bok, aż obaczy czterech wężów srogich ze skały wychodzących; spojrzy w górę, aż obaczy, że z drzewka trocha miodu po kropli spada. Więc usta otworzywszy słodyczą się ową bawi, wszelkiego niebezpieczeństwa, w którym zostawał, zapomniawszy. Przypowieść o młodzianie, o nas rzecz sama. Drzewko to nad przepaścią, jest życie nasze, podgryzają je ustawicznie dwie myszy, mysz biała dzień; mysz czarna, noc. Co dzień i co noc przeminie, to życie nasze słabiej stoi. Cztery węże, to są cztery żywioły, które się z sobą bijąc i gryząc nas do grobu wprawiają. Jednorożec szybko bieżący, to śmierć pewna i nieuchronna, która za nami goni, smok z otwartą paszczeką, to piekło, które nas chce pochłonąć i pożreć. *Dilatavit infernus os suum.* Izajasz 51. Sąd ostatni Pana Boga, to przepaść straszliwa i niedojrzana. *Judicia Dei abyssus multo.* My tego wszystkiego zapomniawszy nad trochę słodyczy, to jest rozkoszy i uciech doczesnych, bawimy się! Prze bóg! Co czynimy! czemu się nad tą przepaścią nie wzdrygamy! Biją pioruny, grzmoty ziemią zatrząsną, błyskawice źrenice rażą, ognie świat pustoszą, to się lękamy, ledwie od strachu nie umieramy, do nabożeństwa się udajemy, a kiedy nam o strasznym sądzie boskim powiadają, *Fulgurans de coelo veniet* i t. d. bezpiecznie z grzechu w grzech postępujemy!"

A więc w takim razie nie byłby autorem tej bajeczki ani Rückert, ani Gaston Paris, lecz ów Barlaam, starożytny mędrzec wschodni. W rzeczywistości jednak Rückert nie przypisywał sobie nigdy autorstwa bajeczki, która znajduje się między jego przypowieściami, zaczerpniętymi z obfitego skarbca przypowieści wschodnich, zmienił tylko i ugrupował jej szczegóły, wypowiedział w dobitny sposób ich znaczenie i nadał w ten sposób bajce własne oryginalne piętno. Np. szczegół o owych kroplach miodu, spadających z liści, zmienił w ten sposób, że w jego bajce rosną na krzaczku jagody.

Ludowy festyn muzyczny. Wszystkie przedsiębiorstwa operowe i koncertowe bezczynne są we Włoszech w porze letniej, natomiast rozpoczyna się sezon ludowy festynów muzycznych; najsłynniejszym jest festyn Piedigrotta w Neapolu. Na nim to neapolitańscy kompozytorowie przedstawiają publiczności swe nowe utwory, które następnie obiegają Włochy, a niekiedy świat cały. Za najlepsze piosnki wyznaczone są liczne nagrody. Wszystkie prawie wybitniejsze pieśni ludowe przechodziły przez chrzest na festynie Piedigrotta i wielu słynnych kompozytorów włoskich, jak Tosti, Corta, Capua i inni rozpoczynali swą karyerę jaką ładną „Canzone di Piedigrotta". Zyskujące tu poklask utwory z wielką szybkością rozchodzą się po świecie. „Pagliacci" śpiewają je po wsiach, wędrowni księgarze sprzedają ich nuty po 1 soldzie, tekst z nutami za 2 soldy, z akompaniamentem na mandolinę za 6 soldów. Ale każdy gotów zapłacić za najnowszą „Canzone di Piedigrotta". W Rzymie od lat kilku ustanowiono także ludowy festyn muzyczny w dniu św. Jana Chrzciciela, obchodzonym bardzo uroczyście przez Rzymian. Związek „Rugantino" co roku wyznacza nagrody za najlepsze „Canzone Romanesco", które następnie w dniu festynu wykonywa chór męski, przejeżdżający przez miasto na rydwanie. W tym roku pozyskano kilka ładnych piosnek w rzymskim dyalekcie, nie mogą one jednak wytrzymać porównania z pieśniami z Piedigrotta.

Środek na czkawkę. Profesor Laborde w Towarzystwie biologicznem w Paryżu podał spostrzeżenie następujące: do profesora Lépine'a w Lyonie zgłosiła się młoda dziewczyna, dotknięta od czterech dni nieustającą czkawką, która powtarzała się do 30 razy na minutę. Objawów histeryi nie było. W przypuszczeniu, że czkawka jest w związku z zaburzeniem żołądka, Lépine kazał chorej pokazać język, który, z powodu oglądania go przez studentów, pozostał wysunięty na minutę. Podczas tej minuty czkawki nie było. Zwróciwszy uwagę na tę okoliczność, Lépine kazał chorej trzymać język wysunięty przez kilka minut. Gdy chora język napowrót wsunęła, czkawka wprawdzie powróciła, ale bardzo słaba i rzadko, a po kilku minutach zupełnie ustała. Dodać trzeba, że przedtem chora próbowała wielu środków bez skutku. Prof. Laborde dodał, że Viaud jeszcze w 1894 roku opisał dwa przypadki skutecznego działania wysuniętego języka na czkawkę. Przypadek pierwszy dotyczy samego autora, którego czkawka w ciągu trzech dni pozbawiła snu. Wyciąganie języka w ciągu 50—60 sekund odrazu cierpienie usunęło. W przypadku drugim trzy razy Viaud usunął tym sposobem uporczywą czkawkę.

Rodzina katów. W Saragossie umarł niedawno w 84 roku życia José Gonzalez, który od 56 lat pełnił służbę kata i wysłał na tamten świat 192 zasądzonych na śmierć. Dwaj jego bracia Sewero i Ramon byli także katami, a pierwszy z nich dożył późnego wieku lat 89. Ramon umarł na szafocie, tknięty apopleksyą, wnet po wykonaniu egzekucyi na trzech zbrodniarzach. Stryj Gonzalezów był także katem w Walladolid i doczekał się na swym urzędzie sędziwego wieku. Ojciec zmarłego Jozego był początkowo rolnikiem. Wskutek zakładu jednak został pomocnikiem kata w Saragossie, oddając ten urząd po śmierci swej synowi. Z pozostałych po Jozem dwu synów zajmie starszy miejsce ojca. Długowieczność członków tej katowskiej rodziny świadczy o tem, że można doskonale wyprawiać na tamten świat swych współbraci, nie skracając tem bynajmniej własnego życia.

Zmarli. W Krakowie ks. Teodor Rogoziński, kapłan jubilat, kanonik honorowy kaliski, podkustoszy katedry krakowskiej, kapelan kaplicy hr. Potockich w katedrze na Wawelu, więzień stanu i Sybirak.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 17 R, w poł. + 25 R. Bar. 761. Spada. Pogoda.

Nieporozumienie.

Obcy: Czy można się widzieć z panem S.?

Służąca: Nie, mój pan wyjechał w podróż poślubną.

Obcy: Przykro mi bardzo...

Służąca: Prawda, biedny mój pan? Ale jakto, pan znasz także jego żonę?

W salonie.

Mąż: Zawsze jesteś kwaśną i skrzywioną. Spójrz na panią Dorotę, jaka to wesoła i rozpromieniona kobiecina.

Żona: Zapominasz mój drogi, że pani Dorota jest już wdową.

Z teatru. Dziś we czwartek drugi gościnny występ Edwarda Wolskiego, artysty teatrów warszawskich „Królewicz", komedya w 4 aktach Edwarda Lubowskiego. P. Wolski wystąpi w roli tytułowej. Pani Stachowicz przybyła umyślnie z urlopu i wystąpi w roli Henryki. Jutro w piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę trzeci gościnny występ Edwarda Wolskiego „Moja kuzynka", komedya w 3 aktach Henryka Meilhaca z p. Wolskim, panią Stachowicz, oraz z p. Feldmanem w głównych rolach. W niedzielę czwarty gościnny występ Edwarda Wolskiego (na ogólne żądanie) „Oj młody, młody!", komedya w 4 aktach Jana Aleksandra hr. Fredry, syna.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** W wesołej komedyi Aleksandra hr. Fredry syna p. t. „Oj, młody, młody!" rozpoczął wczoraj szereg gościnnych występów na naszej scenie p. Edward Wolski, artysta teatrów warszawskich, i pierwszym zaraz występem zdobył sobie uznanie naszej wiele wymagającej publiczności. Gra jego w roli Wireckiego była pod każdym względem prześlicznie wyrzeźbioną kreacyą, obfitującą w niemały zasób wybornych pomysłów humorystycznych, które wśród audytoryum wywoływały ciągle wybuchy śmiechu. Ani chwili nie był artysta na scenie bezczynnym. ustawicznie przykuwał do siebie uwagę widza, grał żwawo, wesoło, a co najważniejsza: w grze jego nie było wcale szarży, chociaż w nią tak łatwo popaść było można. Każdy ruch jego, każdy giest, był tak naturalny, iż zdawało się, że w istocie ma się przed sobą studenta drugiego kursu praw, kochającego się we wszystkich naokół kobietach. Artystę nagradzano przy otwartej scenie hucznymi oklaskami, a po każdym akcie wywoływano go po kilka razy. Dziś drugi występ p. Wolskiego w „Królewiczu" Lubowskiego.

Obok p. Wolskiego za pełną humoru grę zbierał huczne oklaski p. Feldman. Na uznanie zasługuje p. Walewski. *ek.*

* **Ze świata muzyki.** Życiorysy i szkice. Anna z hr. Mycielskich Lisicka. Kraków, u Spółki wydawniczej, 1896.

Historya muzyki posiada już obecnie olbrzymią literaturę. Począwszy od Aristoxenesa z IV wieku przed Chrystusem, a skończywszy na kilkutomowych pracach autorów współczesnych, nietylko muzyka w ogólności, ale każdy z jej działów zostały najdokładniej opracowane. Dzieła takie, jak: „Geschichte der Musik" Ambroza (3 tomy), Mendela lub Fetisa: „Histoire générale de la musique" i tyle innych więcej szczegółowych, świadczą, że przedmiot ten nie leżał odłogiem i że pisarz poświęcający mu dzisiaj swoją uwagę, sporo musi poświęcić trudu i mozołu, zanim pozna, co już przed nim zrobiono. Pani Lisicka nie ma zamiaru pisać historyi muzyki, ani nawet rozprawy o talencie i twórczości niektórych geniuszów muzycznych. Podjęła się ona zadania o wiele skromniejszego: szło jej mianowicie o zebranie pewnych charakterystycznych szczegółów z życia mistrzów i mistrzyń i rzucenie tym sposobem pewnego światła na ich stronę etyczną. Nie obniża to bynajmniej wartości pracy autorki, zebrać bowiem umiała materyał obfity, który dla biografa i historyka może być bardzo cennym, dla czytelnika zaś jest wielce zajmujący. Posiada też pani Lisicka smak i umiejętność w wyborze przedmiotu. Nic u niej nie trąci trywialnością, nie lubuje się bynajmniej w scenach i faktach drastycznych, a przeciwnie, umie wszędzie zachować miarę i ton pełen humoru, lekkości, a niemniej zawsze przyzwoity.

Wyznajemy, że najwięcej podobała się nam sylwetka maestra Rossiniego i Marietty Malibran. Dwa to talenta, jakby przeznaczone dla siebie, by tworzyć arcydzieła i wykonywać je po mistrzowsku, musiały mieć w sobie wiele rysów wspólnych, a głównie ową bezgraniczną cześć i miłość dla sztuki, która, jakby nić złota, przenika całe ich życie. Zarówno Rossini, jak i diva Marietta, mało mieli pociągu do życia rodzinnego. To też pierwszy spędzał je dosyć burzliwie, ona zaś, jakkolwiek równie czarująca, jak cnotliwa, nie znała innego ołtarza, prócz sztuki.

Na tle dwóch tak oryginalnych natur, życie rozpiąć musiało całą kanwę ciekawych rysów, które p. Lisicka skrzętnie zebrała i w piękną artystyczną całość ułożyć umiała. Ilekroć razy przytem przychodzi jej wypowiedzieć sąd o arcydziele lub jego twórcy, okazuje pani Lisicka nieposполite znawstwo i poczucie artystyczne. Umie wciągnąć w opowiadanie swoje osoby i wypadki, wpływające na życie jej bohaterów i tym sposobem przedstawia, ich w żywem otoczeniu.

Robert Schumann traktowany jest nieco poważniej, ale bo też w życiu tego wielkiego artysty mało było śmiechu i wesołości, a sporo łez i smutku. Wielki twórca pieśni wydobywał często ze zbolałego serca swe cudne melodye. Zwracamy uwagę, że autorka zupełnie niepotrzebnie posługuje się z niemieckiego zapożyczoną nazwą: „Lieder", odmieniając ją przez wszystkie przypadki, kiedy należało używać albo „Lied", albo, co daleko lepiej, pozostać przy polskiej: „Pieśni".

Krótki szkic z życia Mendelsohna zapoznaje czytelnika nie tyle z talentem i twórczością mistrza, ile z jego stosunkami domowymi i rodzinnymi. Wiele szczegółów tych jest już zkądinąd znanych, niemniej p. Lisicka pomnożyła je i opowiedziała w sposób nader zajmujący.

Fryderyk Chopin jest tak sercu naszemu bliski, że radzibyśmy widzieć tę ukochaną postać, jakby wskrzeszoną. Na 80-ciu stronnicach pani Lisicka uczynić tego nie mogła i poprzestać musiała na dosyć dorywczej sylwetce, która wszakże z pod jej pióra wyszła z całym wdziękiem i urokiem.

W ogóle „Ze świata muzyki" jest bardzo pięknym nabytkiem dla naszej literatury i nie tylko miłośnicy muzyki, ale szeroka publiczność czytać będzie książkę z wielkiem zajęciem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 21 lipca.

(*Z*) Sukcesy odnoszone ustawicznie przez zwolenników srebra w Stanach Zjednoczonych zaczynają w wysokim stopniu oddziaływać na giełdy europejskie. Zwłaszcza zachodnie targi pozbywają się walorów amerykańskich. Napływ złota z Ameryki, którego spodziewać się można w najbliższym czasie, krzyżuje rachuby wielu spekulantów. Także niepomyślne wiadomości z Krety wywierały dziś nacisk na kursa, to też obroty dzisiejsze zamknęliśmy zniżką. Tylko walory kolejowe najmniej ucierpiały dzięki prześlicznej pogodzie, sprzyjającej żniwom. Z bankowych papierów utrzymały się na wyższym poziomie tylko Bankvereiny i Uniony.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 363·20, węgierskie 389·40, Anglobanki 157·25, Uniony 292 —, Bankvereiny 268·25, Länderbanki 254·75, Ludwiki 219·50, Czerniowieckie 289·—, Elbethale 275·—, Renta papierowa 101·75, srebrna 101·85, austryacka złota 123·65, 4% austr. renta wal. kor. 101·15, węgierska złota 122·60, 4% węgierska renta wal. kor. 99·55, dukat 5·65—, 20-frankówka 9·51, marki 11·73, ruble 1·26½.

§ **Dla naszych cukrowni.** Wiadomo powszechnie, że rynek amerykański zaspakajał swe potrzeby prawie wyłącznie cukrem trzcinowym z Kuby. Żyzna ta wyspa, nazywana przez Hiszpanów „perłą Antylów", wywoziła corocznie do Nowego-Jorku z górą milion ton cukru (w r. 1894/95 naprzykład wywieziono z Kuby do Ameryki 1,100.000 ton, to jest 22 miliony centnarów cukru); od chwili jednak, gdy wybuchła tam rewolucya, trzcinie cukrowej zagroziło wielkie niebezpieczeństwo, tak dalece, że do doprowadzenia jej do dawnego stanu potrzeba będzie najmniej lat pięciu.

W danej chwili plantacye trzciny są w stanie opłakanym, graniczącym z zupełnem zniszczeniem. Prawie wszystkie cukrownie są zamknięte, a powstańcy niszczą w dalszym ciągu pozostałe plantacye trzciny cukrowej na całym obszarze wyspy. Skutkiem tego wywóz cukru z Kuby do Ameryki zmniejszył się odrazu tak dalece, że w roku 1895 wywieziono zaledwie 153.000 ton, a w r. b. Kuba wysyła do Ameryki najwyżej 47.000 ton, reszty zaś dostarcza Europa. Z tego też powodu powiększono w Europie obszar plantacyi buraków o 300.000 morgów. Pierwsze miejsce zajmuje Francya, gdzie powiększenie wynosi 21·6 prc., w Austryi 20·2 prc., w Niemczech 12½ prc. Kraje te usiłują teraz opanować jaknajśpieszniej korzystny ten rynek zbytu, ceny cukru bowiem podniosły się z 2⅘ cnt. (w r. 1884) do 5⅛ centa za funt (w r. 1896). Ceny cukru na giełdzie w Nowym Jorku wahały się w maju jak następuje: za cukier „Moscovados" 80° polaryzacyi od 3,38 do 3.62 centów za funt. Za cukier „Centufugals" 96° polaryzacyi od 4.00 do 4,25 centów. Za cukier „Standart Grannlatsr" od 4.85 do 5.08 centów. Cło od cukru poniżej N. (Dutch Standart) wynosiło 40 prc. ad valorem; za cukier w wyższych gatunkach do cła ad valorem dodaje się jeszcze cło dodatkowe w stosunku 0.125 centa od funta. Od cukru wreszcie wywożonego z krajów, posiadających premie wywozowe, pobiera się jeszcze dodatkowo 0.1 centa od funta. W obec tego, co wyżej powiedziano, nasuwa się pytanie, dlaczegoby nasze młode cukrownie nie mogły skorzystać z tych pięciu lat, niezbędnych do przywrócenia normalnego stanu plantacyi trzciny cukrowej, i dlaczegoby nie miały się postarać o zajęcie stałego posterunku na amerykańskim rynku cukrowniczym.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 20 lipca. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 751, węgierskich 3735 i niemieckich 693, razem 5179 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 31, dobre ciężkie 32 do 33, osobliwe prima 34 do 34½, wyjątkowo 35 zł., za buhaje i krowy 20 do 28 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 21go lipca.

Z powodu rozpoczęcia żniw, w handlu zbożowym panuje obecnie zupełny spokój, gdyż zarówno sprzedający jak kupujący zachowują się wyczekująco, a transakcye dzisiejsze [illegible] targu ograniczały się do pozostałych zapasów st[illegible]go zboża, które po cenach dotychczasowych d[illegible] chętnie kupowano.

Płacono: pszenicę białą 7·20 do 7·55, czerwoną 7·20 do 7·50, żółtą 7·20 do 7·50, żyto 6·20 do 6·55, jęczmień browarny 5.70 do 6·—, na paszę 5·— do 5.30, owies 5·90 do 6·25, wykę —.— do —·—, rzepak nowy 9.— do 9.25, konicz czerwony do — zł., biały — do — zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Stan zasiewów na Węgrzech.** Pszenica pozwala spodziewać się średnio dobrego żniwa; żyto jakościowo lepsze niż w roku ubiegłym, a także i ilościowo przekroczy zbiory z roku ubiegłego. Zbiór jęczmienia średnio zadawalniający.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 23 lipca. *Fremdenblatt* jeszcze raz odpowiada na wywody *Pester Lloyda* w sprawie odnowienia ugody austro-węgierskiej i oświadcza, że w Austryi ukończeniu dzieła ugodowego w jesieni nie stoją na drodze takie przeszkody, którychby nie można przezwyciężyć, a stosunki austryackie nie są też żadną poważną zaporą dalszej akcyi. Rozumie się samo przez się, że oba rządy pracowały nie dla nowo wybrać się mających parlamentów, ale dla istniejących obecnie i z góry już miały szczerą wolę wniesienia odnośnych przedłożeń w ciągu jesieni.

Belgrad 23 lipca. Prezes ministrów Nowakowicz przyjął z wdzięcznością zaproszenie hr. Gołuchowskiego do wzięcia udziału w otwarciu Bramy Żelaznej i zapowiedział, że rząd serbski reprezentowany będzie na tej uroczystości przez ministra finansów i robót publicznych.

Rzym 23 lipca. Parlament przyjął projekty ustaw o zniesieniu ceł wywozowych od siarki i o sycylijskich zakładach dobroczynnych, poczem odroczył się na nieograniczony czas.

W senacie oświadczył minister spraw zagranicznych Visconti-Venosta, że obejmując swój urząd, nie zastał żadnej niezałatwionej sprawy zawarcia jakich nowych traktatów handlowych. Co się zaś tyczy traktatów handlowych między Włochami a Francyą, to zdaniem ministra składanie dziś jakiegokolwiek oświadczenia byłoby niestosowne.

Londyn 23 lipca. Wczoraj w południe odbyły się zaślubiny księżniczki Maud, córki księcia Walii, z księciem duńskim Karolem.

Na ślubie byli rodzice panny młodej, królowa Wiktorya, książęta duńscy Chrystyan i Harald, grecki następca tronu z żoną, Salisbury, Gladstone, ambasador niemiecki i poseł duński.

Londyn 23 lipca. Do „Daily News" donoszą z Aten, że tureckie nieregularne wojsko napadło na chrześcian w pobliżu Heraklionu i zamordowało ich piętnastu między nimi dwóch kapłanów. Chrześcianie zaś w Heraklionie zamordowali sześciu Turków.

Do *Timesa* donoszą z Konstantynopola, że w Ordu dzieją się znów rzezie. Dwudziestu pięciu Ormian zamordowano.

NADESŁANE.

Lwów dnia 23 lipca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218.50 do 221.50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 287.— do 291.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 376.— do 388·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 99.80 do 100.50. 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97.50. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.10 do 98.80 4 proc. los w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat. 97.50 do 98.20.

Obligi. za 100 zł.: Gal fund. propinacyjnego 4 pro. 97.80 do 98.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 pr[illegible] [illegible]— do —. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. 100.00 do 100·70, 4 proc. z r. 1891 97·— do 97.70, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.49 do —·—. Półimperyał 9.60 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27. 100 marek niemieckich 58.60 do 59.—.

Wiedeń 22 lipca. Notowania wieczorne. Kredyty 364·50, węgierskie kredyty 391.50, anglobank 156·75, bankverein 268.25, unionbank 293·75, landerbank 255·00, staatsbahny 362.50, lombardy 103·75, elbethale 275.75, akcye tytoniowe 164.—, rima 240.00, alpiny 81.00, renta majowa 101.75, węg. renta złota —.—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 52.75, węg. renta koronna 99·65, marki 58.75, ruble —.—.

2)

WYSWATANA

Powieść

Jana de la Brète.

Tłumaczona na polskie przez baronową Hartingową.

(Ciąg dalszy).

— Boś go raz jeden widziała tylko. Jak ci się nie podoba, to go nie bierz. Powiedz mu krótko i węzłowato: — mój panie, nie ja jedna na świecie. Idź szukać szczęścia gdzie indziej i basta.

— Dla czegoś ty nigdy nie wyszła za mąż, Józefko?

Staruszka postawiła żelazko i zażywszy tabaki, zamyśliła się głęboko, jakby nad zagadką własnego życia.

— Nie było widać przeznaczenia — rzekła po chwili. — Byłam brzydka od małego, a przecie nie zbywało mi na konkurentach. Był piekarczyk... poczciwe chłopaczysko, kochał mnie jak osioł. Oczu nie miał, czy co... bo ja wiem! dość, że byłby gotów w ogień pójść za mną. Byliśmy już po zrękowinach, i nawet suknię sobie kupiłam na wesele. W końcu jednak powiedziałam mu: — Mój kochany, nie będzie chleba z tej mąki, bo im więcej na ciebie patrzę, tem mniej mi się podobasz...

— Cicho! — przerwałam gorączkowo. — Słyszę turkot powozu... To on!... Rzucam cały stos bielizny ułożony na stole i mimo krzyków przerażonej staruszki, pociągam ją do okna. — Przypatrz mu się dobrze — wołam. — Chcę, abyś mi powiedziała swoje zdanie o nim.

Z po za okiennicy, której skrzydło osadzone na zardzewiałym zawiasie, przyciągam do siebie, przypatrujemy się pilnie nowemu przybyszowi. Pan d'Onelle wprawną dłonią kieruje swego konia i okrąża trawnik tak spokojnie, że nie mogę się wydziwić jego zimnej krwi, bo mi serce jak młotem bije w piersi i fala krwi uderza do głowy. Wysiada, nie spiesząc się wcale, z angielskiego *break*'u i chwilę, stojąc przed gankiem, rozmawia ze stangretem, który nadbiega ze stajni, aby z rąk jego odebrać konia.

Jest on szczupły, wysokiego wzrostu, ma rysy piękne i regularne, włosy i zarost ciemno blond; ruchy jego nacechowane są spokojem i dystynkcyą.

— I cóż? — pytam Józefki po jego wyjeździe.

— Panicz jak malowanie — odpowiada z zachwytem.

W dwa tygodnie po tem widzeniu, Henryk d'Onelle włożył mi na palec pierścień zaręczynowy.

Ojciec i starzy nasi przyjaciele, przyjęci najżywszem zadowoleniem, przyśpieszali dzień ślubu. Ciężar niepokoju o los mój spadł im z serca. Ja jedna czułam, że czegoś mi niedostaje jeszcze, ale jednej tylko Józefce zwierzałam się z tem poufnie.

— On mi się wydaje taki jakiś zimny, obojętny... — mówiłam. — Bywa wprawdzie często, przywozi mi kwiaty; ale jabym chciała coś więcej jeszcze: jakiegoś objawu cieplejszego uczucia. Czy ci twój piekarczyk nigdy nie mówił, że cię kocha?

— Cóż znowu, panienko? A jużci że mówił. Ale co parobczak, to nie panicz. U panów to widać nie jest w zwyczaju.

— Serce wszędzie jednakie — odpowiadam, wzdychając.

Ale otóż, pewnego popołudnia, kiedy siedząc samotnie pod lipami rozmyślałam nad moim narzeczonym, usiłując rozpoznać jego charakter, ujrzałam go zbliżającego się do mnie z wyrazem twarzy mniej obojętnym niż zwykle.

Usiadł obok mnie, zaczął rozmawiać o tem i o owem, a kończąc jakiś frazes dość zawikłany, dorzucił:

— Bo ja panią kocham. Wszak wiesz o tem.

Serce mi podskoczyło w piersi. Pochyliłam się naprzód, aby spojrzeć w twarz jego i w oczach wyczytać potwierdzenie słów. Wzrok jego wyrażał szczerość. Wyciągnęłam rękę do niego i z głębokiem wzruszeniem zawołałam:

— Kochasz mnie? Kochasz naprawdę? Dla czegoż nie powiedziałeś mi tego pierwej?

— Jesteśmy ciągle tak strzeżeni — odparł z uśmiechem.

Byłam gotową rzucić się w jego objęcia i w uniesieniu rozradowanego serca zawołać:

— Poznasz kiedyś, jaką siłą uczucia odpowiem na twoje przywiązanie. Zgłębisz tę duszę moją, pełną bezgranicznej miłości i poświęcenia dla ciebie, o, jedyny towarzyszu drogi mojego życia!!

Milczałam jednak i przechylona na fotelu, z ręką w ciepłym uścisku dłoni mego narzeczonego, zaczęłam oddychać swobodniej, jak ktoś, komu nieznośny ciężar troski i niepokoju spadł z piersi. Siedzieliśmy w cieniu, a opodal nas słońce potoki światła zlewało z góry na rozesłaną zieleń trawników; mnie zaś nigdy jasność dzienna nie wydała się tak piękną jak w owej chwili, kiedy nowe blaski roznieciła w mojej duszy. Obawy moje rozwiały się jak płatki śniegu, stopione pierwszym podmuchem wiosny, i od tej pory bez żadnej myśli wstecznej oddałam się cała memu szczęściu. Uczucie tak słodkie i rozkoszne po brzegi wypełniło mą duszę, że co chwila dziękczynna modlitwa rwała mi się na usta.

— Widzisz, Józefko, że panowie umieją, jeżeli chcą, przemawiać językiem piekarczyków.

Radość moja odbijała się na twarzy kochanego mojego ojca i starych naszych przyjaciół, którzy wydawali się odmłodzeni mojem szczęściem.

Dwa tygodnie przeszły jak sen.

W wigilię mego ślubu późno w noc czuwałam przy otwartem na ogród oknie, pojąc się rozkoszą, nadzieją i niedoświadczeniem dni przeżytych. Wśród ciszy nocnej odgłos zrywającej się gdzieś burzy lekkim szmerem poruszył liście drzew. Nadstawiłam ucha. Nagle przeraźliwy krzyk puhacza ozwał się w pobliżu. Drgnęłam mimowolnie, ale rozkoszne marzenia młodości ogarnęły mnie znowu i oczy moje zaszły łzami na myśl o nieznanem jutrze. Jak starych znajomych obejmowałam wzrokiem wszystkie przedmioty, które mnie otaczały, wśród których wzrosłam, i ten pokój dziewiczy, w którym przemarzyłam złoty sen młodości. Nazajutrz rano odbył się ślub nasz w wiejskim kościółku, a w godzinę potem kareta czekała na nas przed bramą.

Wszyscy wylegli na ganek, aby po raz ostatni uścisnąć nam dłonie. Niedaleko odjeżdżam, bo majętność mego męża, którą zamieszkiwać będziemy latem, odległą jest zaledwie o dwie mile; a jednak w jakże daleką puszczam się podróż... w podróż życia! To też z poza łez wzruszenia wszędzie dokoła siebie widzę słodko uśmiechnięte pogodne twarze moich staruszków, bo wiadomo wszystkim, że gołąbka ich odlata w błękitną krainę szczęścia.

— Bywajcie zdrowi! Bóg z wami!

Konie ruszają. Raz jeszcze obracam się, aby ostatnie pożegnanie przesłać memu ojcu, którego drżąca dłoń kreśli za mną krzyż w powietrzu. Wysoka a przygarbiona postać jego zdaje się nagle chylić ku ziemi, jakby pod ciężarem osamotnienia i mimowolnego smutku. Pan de Meran, sztywny, wyprostowany, podaje mu ramię, a łzy natrętnie płyną mu po twarzy. Za nimi Józefka przykłada do oczu wielką kraciatą chustkę; słudzy z odkrytemi białemi głowami, patrzą za oddalającym się powozem, i nagle na zakręcie drogi cały obraz przeszłości znika mi z przed oczu.

Mijając olbrzymi krzak róży, którego zwoje splątane z powojem długiemi łodygami powiewają w powietrzu, stangret zahacza batem o gałąź i deszcz wonnych bladych listków spada na nas z góry, jak zapowiedź szczęścia lub jak rozwiane złudzenie.

II.

Dwa miesiące błądzimy po obcych krajach, przenosząc się z miasta do miasta, wpadając w zachwyt na widok posągów i arcydzieł. Och, jakże śmiertelnie znużył mnie już ten obowiązkowy zachwyt! Jak wzdycham do powrotu do domu, gdzie nareszcie żyć zaczniemy normalnem życiem, gdzie odnajdziemy samych siebie!

Nareszcie pewnego dnia, kiedy siedząc samotnie w pokoju hotelowym przypatrywałam się deszczowi, który siekł o szyby okien, Henryk wszedł i oznajmił mi zwięźle:

— Jutro wracamy do kraju.

W wigilię tego dnia projektował dalszą podróż; a że nie miał zwyczaju radzić się mnie co do swoich planów, więc słysząc te słowa, o mało nie krzyknęłam z radości. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że mój mąż nie lubi wybuchów żywszych uczuć; to też ograniczyłam się na zwierzeniu się z uciechy mojej kuferkom podróżnym.

Przybyliśmy do Roche Plate w ciepłą, pogodną noc, która tajemniczym półmrokiem, przetykanym srebrnem światłem księżyca, spowijała okolicę całą. Zbudzony artystyczny mój zmysł objął na raz całą piękność krajobrazu, w którym dusza moja rozmiłowała się od pierwszego spojrzenia.

Służba zgromadzona w sieni przyjęła nas sztywno i ceremonialnie; dwór, niedostatecznie oświetlony, wyglądał ponuro jak niegościnny gospodarz, któremu przerwano spoczynek o niewłaściwej porze. Mąż mój senny i zmęczony podróżą, gniewał się, niecierpliwił i łajał lokai.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża). Zarządca W. Hodak.